Nr. 40. W Krakowie, w sierpniu 1911 r. Rok IV.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska“ w Krakowie i „Polska Liga Narodowa“ we Lwowie, wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata roczna 3 kor. — Dla Członków „Straży Polskiej“ i „Ligi“ **2 kor.** (z przesyłką pocztową). Czek „Straży Polskiej“ ma Nr. 96.953

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Czesław Odrowąż-Pieniążek.**

Adres redakcyi i administracyi: **Kraków, ulica Floryańska L. 1.**

Marnotrawni.

I.

Jak ów diabeł Boruta, pilnujący skarbów, jak owi rycerze Bolesławowscy, zaklęci pod kamieniami Tatr, wiecznie żyją, nie usuwają się z legendowej wiary ludu, tak w charakterze naszym tkwią dziwne nawyki, zboczenia, narowy. A gorsze od Boruty, bo ten cicho siedzi, a one wichrem często się zrywają i miotą śmieciem i brudem niekiedy na sprawy tak czyste, tak poważne, że jakiekolwiek ich nieuszanowanie, staje się obrazą sumienia narodowego. To znowu pokrywają nas pleśnią, czynią ospałymi i nieporadnymi, gdy energii i wytrwałej, a rozumnej potrzeba ruchliwości. Jedną z tych wad naszych, jest marnotrawstwo. Marnotrawstwo mienia, czasu, sił żywotnych, nabytków politycznych, marnotrawstwo wrodzonych zdolności, marnotrawstwo samego siebie, własnej osoby.

Od czasów biblijnego „syna marnotrawnego“, iluż to marnotrawców przesunęło się przez świat, ile po nich pozostało łez ludzkich, krzywd sierocych, rozwalin starych fortun, wiekami składanych! We wszystkich epokach cywilizacyi bywali marnotrawni: na tronach cezarów rzymskich, królów chrześcijańskich, w zamkach magnatów, w dworach szlacheckich, w chatach wieśniaczych. Były to straszne dla narodów, dla rodzin, lub dla siebie samych j e d n o s t k i. Jednych napiętnowała historya, o innych wysnuły się legendy, anegdoty, nad wszystkiem zapadł wyrok potępienia, lub co najmniej,, ubolewanie.

Biedna Francya za Ludwika XV., biedny Rzym ze swoim Lucullusem, ale cóż powiedzieć o narodzie, który cały *in capite et membris* jest marnotrawcą, a luźne tylko jednostki sterczą w nim po nad powodzią marnotrawstwa, jak drogoskazy; może dla następnych pokoleń, które z pod tej powodzi wyrosną.

A dzielny to naród! skarbów w nim intelektualnych i moralnych siła wielka, jeno nie umie ich użyć, lub je marnotrawi, to też w całej swej sławnej historyi stał i stoi jeszcze nie mocą własną, społeczną, ale dzielnością jednostek, które mu Opatrzność zesłała. P o l s k a n i e s t a ł a s i ł ą n a r o d u, j e n o s i ł ą w i e l k i c h l u d z i

Powiedzmy sobie prawdę, że największe idee, największe myśli polityczne, najsławniejsze czyny nasze, wyrastały z ducha i serca wielkich ludzi naszych, a trwały dopóty i spełniały się, dopóki ludzi tych stało. Ogół narodu, społeczeństwo jako takie, dawało się. im porywać na chwilę, ulegało ich mocy, szło za głosem swych wielkich w chwilach zapału, ale myśl wielką, ideę wielką, czyn bohaterski, otrzymawszy testamentem wielkiego człowieka, marnotrawiło w pierwszem zaraz pokoleniu, na własność ani ich przyjąć, ani przechować i pomnażać nie zdolne.

Nawet własną krwią, ofiarą życia i mienia nabyte pożytki, w cóż się obracały? Umieliśmy zwyciężać, że świat się dziwił zwycięstwom naszym. Nie dziwne nam było w kilka tysięcy husaryi rozbijać dwadzieścia razy silniejszego nieprzyjaciela i brać carów w niewolę, ale czyśmy ze zwycięstw korzystać umieli? Czyśmy nie marnowali zawsze i krwi i mienia i dzielności i sławy oręża? Umieliśmy z w y c i ę ż a ć nieprzyjaciela, nie chciało się nam go nigdy p o k o n a ć.

Nie stało Chrobrego i młodzieńcze, dziarskie, jak orzeł karpacki, państwo polskie, już własną siłą ostać się, w skupieniu pozostać nie umie. Rozbija się, gaśnie jego chwała, idzie na łup wewnętrznych i ościennych nieprzyjaciół.

Myśl Krzywoustego pozyskania Pomorza, przepada śród Piastowiczów. Ład Kazimierzowski, roztapia się w paktach koszyckich Po Grunwaldzie, który starł, pochłonął potęgę Krzyżaków, byłby inny naród, takiem zwycięstwem, jak nasze, spotężniały, zawiesił swe sztandary na Malborgu i dotarł do morza i zapanował stale nad jego brzegiem, i nie zostawił hydry, której odrosły głowy o straszniejszych paszczach, co zieją dziś na nas hasłem „ausrotten“, a miażdżą serce i kolebkę Polski.

A gdzie unia Zygmuntowska? „Równi z równymi, wolni z wolnymi“ zabrzmiało i zgasło śród zelotyzmu, przed którym wielki Skarga ostrzegał, śród anarchicznych królewiąt ukraińskich. A gdzież wielkie Batorego zamysły? gdzie korzyść jego zwycięstw? Czy ogół narodu zdołał przejąć się na wskroś tą myślą, jaka wielkiego króla ożywiała? czy zrozmiał, że w owej porze myśmy dzierżyli w dłoni losy cywilizacyi europejskiej, zdolni wówczas zasiać ją i utrwalić na Kremlinie, lub niwelacyjnemu duchowi Azyi, otworzyć wrota do Europy. Wszak była to pora, w której mieliśmy siłę i sposobność zrobić z Moskwą to, co ona z nami w dwieście lat później zrobiła. Umarł wielki król zawcześnie, a myśl jego, wielkie jego plony pozostałe nam w spadku, zmarnowaliśmy bezmyślnie, zdolni ich kosztem urządzić sobie zaledwie bankiet weselny dla Maryny Mniszchówny!

Z początkiem lipca 1863.

(Dokończenie).

Wysłano mnie natychmiast na wedetę od strony Miechowa. Stałem przy szosie obok figury Świętego, objeżdżając ją w koło w ósemkę. Gdy mnie zluzowano, podjechałem do jakiegoś sklepiku kupić cygar; biorę setkę, kupiec nie chce przyjąć pieniędzy i dopiero niemal przemocą zostawiłem mu je na stole. Już to serdeczność była ogromna u ludności.

Po dwugodzinnym spoczynku, udaliśmy się do Władysławia. Marsz był niemiły, bo upał dokuczał, a ogromna kurzawa kłębami osłaniała nas bezustannie. Droga nie była żwirowana, jeno gliniasta. Często, śród kurzawy, trzeciej dwójki przed sobą nie można było widzieć. We Władysławiu zajęliśmy ogród owocowy folwarczny — w cieniach tego sadu spoczywali cztery godziny, poczem o drugiej nastąpił marsz do Racławic, gdzieśmy o ósmej wieczorem stanęli. Pokazywano nam pole bitwy za Kościuszki, dotąd krzyżem oznaczone. Patrzyliśmy na nie, jak na świętą relikwię, a w duszy rozgrywały się uczucia takie dzielne, że ręka chwytała za szablę; jakby pewna zwycięstwa, uderzać chciała na wroga.

Upał i kurzawa odbierały apetyt, to też jeno mlekiem karmiliśmy się przeważnie; koniom nie zbywało na niczem, furaże mieliśmy dotąd jak najlepsze. O samej północy opuściliśmy Racławice, a drobny deszczyk pokropił drogi, odświeżył powietrze. Blisko Słaboszowa, odkomenderował Mycielski ośmiu nas na rekonesans, który ów Węgier Garybaldczyk S. prowadził. Pieszczony głosik, G. Władysław Straszewski brat Kazimierza, który zginął pod Miechowem, bracia Zelechowscy, Ujejski i ja, wyciągniętym kłusem, z bronią do ataku wpadliśmy do wsi, bo zapewniono nas po drodze, że tam nie wielki oddział kozaków nocuje.

Kozacy atoli wyszli przed wieczorem jeszcze. Po krótkim spoczynku maszerowaliśmy do Wolicy i stanęli tam w sobotę 4. lipca rano. Węgrzy zeszli do jakiejś chałupy i chcieli jeść gotować, ale wystraszona kobieta, nie rozumiejąc czego chcą, nie mogąc rozmówić się z nimi, zaczęła przeraźliwie lamentować. Uspokoiłem wieśniaczkę i mówię o co chodzi:

— Nie mam ani drewienka na ogień.

— Jak nie masz drew kobiecino, to płot porąbiemy i zapłacimy ci za to.

— A wara od mego płotu; hej Bartek, wyleź no z nalepy, a zwal tych napastników, zawołała już nie płacząc, ale gniewnie Ksantypa.

— A niech ich tam pomsta bierze, odezwał się Bartek z za pieca.

— Przynieś no wody kobieto.

— Nie mam konewki.

— Przynieś w garnku.

— Nie mam garnka.

— A w czemże jeść gotujesz?

— Co komu do tego.

Nie chcąc surowo z tą Ksantypą postąpić, porąbaliśmy płot, rozniecili ogień, przeszukali chatę, a gdy się garnków podostatkiem znalazło, przynieśliśmy sobie sami wody i zaczęli gotować buljon. Kobieta rzuca się do ognia, chce nam garnki wywracać. Zaraz dwóch wzięło ją pod straż i trzymało jej gołe pałasze nad głową, a tymczasem buljon się ugotował, znalazły się jaja w chacie, chleb, ziemniaki, mleko. Dobra była biesiada, Węgrzy mieli wędzonkę — Ujejski doskonałą wódkę, a ja buljonu dostarczyłem.

Po tej uczcie pytam się baby, ile chce za to wszystko.

— Co się pytasz rabusiu, kiedy nie zapłacisz.

— My nie Moskale kobiecino, my płacimy za wszystko.

— Widziałam ja i takich, a obdarli człowieka i nie nie zapłacili.

Dopiero gdym wysypał na stół pieniądze, gdy się przekonała, że istotnie chcę zapłacić, zmieniła się Ksantyna w poczciwą kobiecinę i znowu zaczęła płakać, ale już z radości, i przepraszała, tłomaczyła się szczerze.

— Nie dziwota panie, że człek boi się o swoje — bo to teraz ten przyjdzie, tamten przyjdzie, każdemu daj, a samemu z głodu giń, Moskal wydrze, Polak każe dawać i człowiek biedny.

— Przecież nasi za wszystko płacą.

— Ej panie, byli tu tacy, co i nie zapłacili i pobili jeszcze.

Wiekowe walki staczają narody, by dobić się, lub doczołgać do morza, bo bez niego byt ekonomiczny i polityczny państw karłowacieje, usycha. Nam „stało pucharem jedno, drugie morze“, a czyśmy i kiedyśmy z tego puchara poili się ekonomiczną, handlową i polityczną siłą? Jakąż odpowiedź znalazły w narodzie zamysły stworzenia floty dla Władysława IV? Zmarnowaliśmy dwa morza, jak zmarnowali zwycięstwo grunwaldzkie, unię Zygmuntowską i myśl Batorego.

Gdzież owoce zwycięstwa pod Beresteczkiem? Umieliśmy świetnie rozbić lawinę kozacką, ale ani nie chciało się nam jej zniszczyć, ani nie umieliśmy jej wyzyskać dla siebie i uczynić z niej sojusznika, lub bodaj sługi, dla zalania potęgi moskiewskiej lub tureckiej.

A gdzież owoce zwycięstwa pod Wiedniem? Nawet Kamieńca Podolskiego nie odebraliśmy dla siebie, ocaliwszy Wiedeń dla chrześcijaństwa. Najwspanialszy pomnik politycznej myśli polskiej: Konstytucyę trzeciego maja, utopiliśmy w naiwnym sojuszu z Prusami i w nieoględności politycznej.

Okruchy dawnej fortuny pradziadów rzuciliśmy na hazard w 30-tym roku, zaczęli powstanie w 30 tysięcy wojska, a skończyli w 60 tysięcy! Była nadzieja odzyskania okruchów w roku 1862 i znowu siedliśmy do hazardu w lasach kampinowskich, skąd nas na szubienicę wyciągnął Murawiew.

Owe „dzikie pola“ ukrainne, skolonizowane, pozyskane dla rolnictwa; owe bogate ziemie podolskie, wołyńskie, byłyby dla roztropnych i oszczędnych źródłem stałego, zdrowego dobrobytu dla całego narodu. A one niestety starczyły na chwilowe użycie i nadużycie. Dochody płynęły ogromne, bez wielkiej pracy, stąd chęć użycia, potem zamiłowanie w używaniu, popęd do zbytku, nawyknienie do niego. Stosunki rolnicze zmieniają się w Europie. Zachód rolnictwo udoskonala, my je zaniedbujemy, zatracamy. Dochody się zmniejszają, ale zbytek rośnie. Aby go zaspokoić, wycina się lasy; gdy tych nie staje, ćwiertuje się sprawę publiczną na interesa prywatne, wystawia się na targowicy dobro ojczyzny i kupują je „za jurgeldy“ i najbliżsi i dalsi sąsiedzi, komu było potrzebne. Senatorów naśladuje szlachta i w zbytkach i w handlu sprawą publiczną. Gdyby nie Konstytucya trzeciego maja, i nie garść czystych, a zacnych imion między panami, a uczciwe serca u szlachty, mogliby XVIII. wiekowi powiedzieć potomni, że Polskę sprzedał, by zyskaną cenę strwonić po szulersku.

Tak robili marnotrawni! Tak zdobywano torby żebracze, kij dziadowski i szczekanie psów! Dźwigamy torby, w które rzucono nam dziś w jednej Austryi jałmużnę, podpieramy się kijem dawnej chwały i słuchamy szczekania psów w budach dziennikarstwa na Sprewą i Newą.

Czesi, co byli gromadą pastuchów przed stu laty, wyrośli dziś w naród, w Słowiańszczyźnie najbogatszy, i mimo arytmetycznej i topograficznej słabości, potężnieją, rosną i wyrosną. Ale, bo Czesi umieli być oszczędni, bo każdy grosz politycznego, narodowego, ekonomicznego nabytku dwoili, troili wytrwałą pracą, konsekwencyą, zręcznością, rachubą przemysłowca. Bez hazardu, bez powstań, bez walk orężnych, mnożyli chwałę lwa na sztandarze. Gdy u nas ziemia krociami morgów przechodzi bezustannie w ręce obcych na wieczną zgubę, lub w ręce spekulantów, na moralne i materyalne zniszczenie, Czesi nie stracili ani jednego zagona w ciągu bieżącego stulecia, a przeciwnie: wykupują ziemię u Niemców, a spychają ich z hegemonii w handlu i przemyśle Siłą cywilizacyjną i ekonomiczną, trzymali Niemcy Czechów w zależności. Czesi stworzyli sobie te siły i dawnych hegemonów dziś zwyciężają własną ich bronią.

Język narodowy, toć główna cecha narodowości, toć przecież oręż może najsieczniejszy. Jak go pielęgnują Czesi, jak są drażliwi na wszelki na niego zamach, jak u siebie nie znoszą obcej mowy! A my?

Nie może być żywotnej siły w narodzie bez oświeconego ludu. Rozumiemy tu oświatę, nie jej pozory; oświatę opartą na moralności z religii płynącej, na owym dobrze zrozumianym konserwatyźmie, co strzeże masy od konwulsyj socyalnych, a podnosi je do stanowiska obywatelskiego i na niem utwierdza; oświatę, co daje wieśniakowi poczucie i zrozumienie praw i obowiązków, a obyczaju rodzinnego nie ściera, jeno go udoskonala, uszlachetnia, a ekonomicznie podnosi. Jakże gorąco, jak wytwale pracowano w Czechach nad ludem przez szkołę, piśmiennictwo, a najwięcej przez uczciwe, a zręczne zbliżenie się do ludu. Toż lud tam czeski i obywatelski, a u nas?

Założyliśmy tysiące szkół ludowych, to prawda; założyliśmy je niekiedy z ogromnym wysiłkiem funduszów krajowych i gminnych. Ludzie dobrej woli, uczciwe dwory szlacheckie, osobistym zabiegiem, nawet i poświęceniem mozolnej pracy i grosza, tworzyły u siebie, lub pod swą opieką, płonące ogniska oświaty i narodowego ducha. To wszystko uznać i ocenić trzeba, a nawet krzepić się tem można i chlubić.

Ale nie dość szkoły dla dziatwy ludu; należało sam lud zaprowadzić do szkoły obywatelskiego życia, a tego się nie czyniło, aż znaleźli się apostołowie złośliwości, przewrotności, spekulanci polityczni, co z łatwowierności i ciemnoty ludu tworzyli sobie drabinę do spinania się na stanowiska, których rzetelną pracą zdobywać im się nie chciało. Zatruwano serce ludu nienawiścią i zawiścią społeczną, odwodzono go od pracy na zagonie, rozleniwiano na wiecach. Zamiast otwierać ludowi oczy na szeroki świat, jak na nim rolnik umie korzystać z bogactwa ziemi, jak z jednej skiby wyorać i wykopać umie więcej dobytku, niż u nas z dziesięciu zagonów; zamiast szczepić w ludzie zdrowe pojęcie ekonomiczne i społeczne, rozbudzano w nim tylko pychę, zazdrość i krzykactwo. Niekiedy kazano mu nawet podnosić pięść przeciw Kościołowi!

Ile zmarnował lud czasu, grosza, zdrowia moralnego i fizycznego, zanim przejrzał, oprzytomniał!

Oprzytomniał lud wiejski, przejrzał rolnik, ale nie wytrzeźwił się jeszcze robotnik.

Na Zachodzie brano lud roboczy w opiekę od dziesiątków lat. Pracowano najpierw nad tem, aby go dźwignąć kulturalnie, moralnie. Uczono go wytrwałej pracy, wpajano weń przekonanie, że dobrą pracą, zyska dobrą płacę. Dano mu oświatę, wytworzono w nim poczucie godności, a gdy go udoskonalono, wtedy otaczano go opieką przed wyzyskiem pracy robotniczej przez spekulacyę kapitału.

U nas nie zatroszczono się o to we właściwym czasie; lud roboczy ciemny, lub naiwny, był bez opieki, bez kierunku, aż znaleźli się i na bruku miejskim krzewiciele złości, zawiści; pełni energii tej, co niszczy, rozwala, a nie tej, co buduje.

Zamiast iść w pracy społecznej ubitym przez Zachód gościńcem, powiedli robotnika na manowce, nie dla jego dobra, ale dla siebie, aby hetmaństwo nad nim pozyskać i na czele zorganizowanej rzeszy stanąć jak Pankracy na Okopach św. Trójcy.

Nie powiedzieli robotnikowi: „Pracuj dobrze, uczciwie, rzetelnie, a będziesz mógł żądać dobrej zapłaty i poszanowania“, jeno rozbudzili prostaczą pychę, zamiast poczucia godności; zuchwałe brutalstwo, zamiast prawdziwej kultury. Nie uleczyli go z lenistwa i niedbałości, jeno rozbudzili żądzę grosza. To też robotnik pracuje jak bądź, jak mu się zechce, ale zapłaty żąda coraz większej. A jakie tego następstwa?

Oto jeden tylko przykład. Hr. B. chciał urządzić w pałacu i budynkach gospodarczych światło elektryczne. Udał się do głośnej firmy we Lwowie, aby robót dokonała. Podano mu obliczenie kosztów w kwocie 35 tysięcy koron. Hrabiemu B. wydało się to za wiele, zwraca się zatem do jednej z firm wiedeńskich. Ta obliczyła koszta na 20 tysięcy koron. Zastanowiła hrabiego ta ogromna różnica, więc ponownie udaje się do owej lwowskiej firmy, okazuje jej obliczenie wiedeńskie i zapytuje o powód różnicy cen. Odpowiedziano mu wręcz: „Jeżeli będziemy mieli wiedeńskich robotników, to również zgodzimy się na ceny firmy wiedeńskiej“.

Sądząc, że to wybieg, pisze hr. B. do Wiednia, że zgodzi się na 20 tysięcy koron, ale pod warunkiem, aby firma posłużyła się polskimi robotnikami ze Lwowa. Na to odpowiedziano, że w takim razie, musianoby żądać 40 tysięcy koron.

To nie wymysł, to fakt prawdziwy!

— Masz więc kobiecino i za tamtych i za nas i dałem jej cztery ruble, inni dołożyli tak, że z dziesięć rubli schowała.

Własnym oczom wierzyć nie chciała, zaczęły się dziękczynienia, błogosławieństwa, przywołała dzieci zamknięte w komorze; dzieci z razu nieśmiało, potem wesoło bawiły się z nami; wyniosła jeszcze kilka serków i wpakowała nam na drogę. Daliśmy jeszcze dzieciom srebrnej monety drobnej, a dziatwa zaczęła się pytać, czy jeszcze do nich przyjdziemy.

Już to w tej okolicy jakoś nie było dla nas przychylności, zapewne skutkiem nadużyć, jakich się może który z oddziałów powstańczych dopuścił.

Z Wolicy poszliśmy do Parszywki. Marsz był fatalny dla braku wody; jakaś bezwodna okolica, a przytem ludność zamykała się w chatach, uciekała przed nami, odmawiając nam wszystkiego. Ani mleka, ani wody nawet nie można było wyprosić sobie, za najdroższe pieniądze; wszelkich zaś gwałtów unikaliśmy, woląc znosić dotkliwy niedostatek, niż lud drażnić i zniechęcać. W Parszywce w lesie, spoczywalimy ośm godzin, oczekując wiadomości od Kosy. Prawdziwą mieliśmy tam męczarnię z pojeniem koni. We wsi jedna tylko była studnia, niesłychanie głęboka, a wody w niej mało. Według zegarka naliczyłem, że dziesięć minut trzeba było poświęcić na spuszczenie wiadra, za pomocą korby na to, aby pół wiadra mętnej wody wyciągnąć, gdyż wiadro nawet zanurzyć się nie mogło dla płytkości wody na dnie studni.

Już to prawdziwe miałem szczęście do stawania na widetach. — Ledwieśmy konie napoili, przychodzi Straszewski i prosi mnie bym poszedł z nim, konia zostawił, gdyż ma rozkaz rozstawienia forpocztów.

— Nie masz co prosić mój Władku, bo służbę uważam za obowiązek.

— Wszyscy się wymawiają, mówiłem temu i owemu, nikt nie chce się ruszyć, dla tego do ciebie przychodzę, żebyś dobry dał przykład.

— Nie rozumiem jak można prosić, gdy należy rozkazywać i jak można nie chcieć, gdy się słuchać powinno.

— No widzisz w innym oddziale możnaby rygor zaprowadzić, ale u nas się nie da.

Poszedłem natychmiast, znalazło się innych kilku, a przedewszystkiem poczciwi Węgrzy. Serce mi się ściskało i oburzyłem się tem wszystkiem. Gdym wrócił z forpocztów, przychodzę do mego konia, a rosynant leży spokojnie jak wielbłąd na przednich nogach. Podniosłem go, ale nie może stanąć i klęka na nowo. Kilka razy powtarzam tę operacyę, probuję konia przeprowadzać, ale niepodobna, bo wciąż klęka, wciąż pada co kilka kroków. Zaraportowałem naczelnikowi, Mycielski kazał zsiąść z konia owemu brodaczowi, służącemu hr. W. i mnie go oddać, a zarazem posłał do dworu zarekwirować jaką szkapę, w zamian za mego kalekę. Żal mi było mego towarzysza, a przeklinałem weterynarza, co mi go zalecił.

Już samym wieczorem opuściliśmy lasy w Parszywce, ciągnąc do Gór, gdzie Bończa nieszczęśliwie popadł w zasadzkę moskiewską i życiem przepłacił. W tej wsi był chłop, który Moskalom służył za szpiega i oddział Bończy umyślnie w matnię zaprowadził.

Niedaleko od wsi, zatrzymał się oddział, a Mycielski wezwawszy mnie, dał mi rozkaz, abym po cichu podjechał do dworu, zbudził w oficynach oficyalistów, przybycie nasze zapowiedział i rozkazał ekonomowi obsadzić chałupę owego szpiega, aby dowiedziawszy się o przybyciu naszego oddziału, nie uciekł.

Noc była ciemna, bo księżyc dopiero później się okazywał, więc niemal po omacku jechałem. Spełniwszy rozkaz, wracam ku oddziałowi, zbliżającemu się do wsi, raportuję Mycielskiemu, a on się odzywa:

— Dobrze — teraz jedź drogą prosto i stań na końcu wsi, przy młynach na krzyżowej drodze, na widecie.

Pojechałem, — oddział zajął dziedziniec we dworze; były porucznik dragonów rosyjskich ** z rozkazu naczelnika rozstawił wedety w około wsi i sprowadził owego chłopa; złożono sąd wojenny i skazano go na śmierć; nazajutrz miał być w Nawarzycach, obok cmentarza, na przeciw grobu Bończy powieszony.

Już ze dwie godziny stoję na wedecie, a nikt

I nie zmarnowano polskiego robotnika? A materyał w nim znakomity, czego dowodem, że za granicą, w Ameryce, w Niemczech, w Danii odznacza się pracowitością, sprytem, porzadnością, abnegacyą, wytrwałością. A więc z robotnika naszego można było wykrzesać siłę dzielną, znakomitą, z pożytkiem dla niego i dla narodu, ale należało w nim najpierw zasiać zdrowe poczucie godności osobistej; należało w nim rozbudzić istotną ambicyę, a nie fałszywą; należało najpierw uczynić z niego rozumnego, kulturalnego człowieka.

A czyśmy też wypowiedzieli walkę dawnym nałogom marnotrawstwa, lenistwa i lekkomyślności w życiu codziennem? Podobno bardzo mało. Zwrot ku lepszemu świtać zaczyna na wsi u szlachty z młodej generacyi, ale mieszczaństwo, a po części tak zwana inteligencya, objęły dawne błędy szlachty w dziedzictwo, jej cnót nie objęwszy.

Czesi wyprzedzają w pracy swoich sąsiadów Niemców, myśmy zaś zaledwie kilka kroków postąpili w udoskonaleniu, gdy Czesi zrobili tych kroków w tym samym czasie tysiące.

Ale Czesi mają wolę i wytrwałość, nie marnują żadnego hasła narodowego, żadnej myśli politycznej i chociaż umierają ich ludzie, trwają tam idee na grobach, mimo grobów.

Mamy tylko w tym odłamie ziem polskich swobodę działania. Jest to grosz z dawnego mienia, zwrócony uczciwą dłonią sprawiedliwego monarchy.

Tym groszem dorobić się mienia musimy, a tem mieniem może nam wypadnie odkupić straconą, przegraną ojców fortunę, całą od morza do morza.

A czy dziś stoimy sobą, czy tylko siłą ludzi, jednostek? nie szukajmy odpowiedzi daleko, głęboko. Uchwała komitetu pomnika Mickiewicza za życia ś. p. Zyblikiewicza, świadczy żeśmy w zbiorowem działaniu nie zdolni stworzyć czynu, skoro „dyktatura“ była potrzebną i skoro ją obwołano.

Stać nas na wrzaski solidarne, nie na solidarne czyny. Gdyby kto chciał sądzić i mierzyć siłę narodu, według skali jego głosu, myślałby, żeśmy bardzo potężni. Ileż to wrzasku, krzyku, szczucia, kłótni, wrzawy, kłamstw i obelg, fałszu i przewrotności, fabrykuje się w drukarniach, w korespondencyach dziennikarskich, na zgromadzeniach, posiedzeniach, a czyny gdzie? a czyny jakie?

Jakiż użytek czynimy z nabytków konstytucyjnych?

Rząd opłaca nauczycieli historyi narodowej, a czy młodzież ją umie, czy się jej uczy? czy znajduje do tego zachętę w domu? Przeciwnie, najczęściej mówią studentowi rodzice: „z tego nie będziesz chleba jadł, ucz się tego, co ci da chleb“. Dawniej po nocach, ukradkiem uczyła się młodzież „Wieczorów pod lipą“, „Opowiadania stryja synowcom“ i t. d. dziś ucieka z godzin na naukę historyi polskiej w szkole przeznaczonych, bo marnotrawni ojcowie, z nałogu marnują nabytki konstytucyjne. *Gdy czego nie mamy, pragniemy mieć, a gdyśmy zyskali, pragniemy zmarnować.*

Mamy język polski w szkole i urzędzie. Język: jedyny, nietknięty, niedający się przez obcych zrabować skarb narodowy. Z tego skarbu wolno nam czerpać obficie pełną dłonią.

Jakże on wygląda w urzędach, w których szafarzami i stróżami jego czystości są przecież Polacy? Wytworzył się żargon urzędniczy, ku obrazie natury i logiki polszczyzny.

W życiu codziennem z lubością posługujemy się niemczyzną, dla przypodobania się wędrownym Michlom lub tutejszym Ickom.

Pan Onufry przyjeżdża z próbkami pszenicy do miasta i zagaduje Icka: „Mości Dobrodzieju, hundert korec Wajcen werde verkaufen“ i łamie język, paskudzi i siebie i niemczyznę i sądzi, że to nic nie szkodzi, gdy się z Ickiem mówi po niemiecku.

Pan majster, chcąc okazać wysoką inteligencyę, za pieniądze na polskiej ziemi, polską swoją dłonią ciężko zapracowane, kupuje u Icka skórę na buty. po niemiecku.

A nasze Wojtusie i Maciusie, skoro z wojska wrócą do domu, to już na konie nie zawołają „nazad“, jeno „zuruck“, a przy lada sposobności przechwalają się koszarowo-niemieckim wyrazem.

Jeżeli nam lada konduktor, lada posługacz drogi żelaznej powie z germańską butą: „Verstehe nicht polnisch“, uchylamy kapelusza i przepraszając, zaczynamy po niemiecku, dla wygody posługacza, kelnera, konduktora. Na myśl nie wpadnie nikomu, że na niemieckie pytanie, na polskiej ziemi uczynione, należy odpowiedzieć: „nie rozumiem po niemiecku“.

Wszakże w Krakowie mamy pierwszorzędne handle, w których właściciel nie umie rozmówić się po polsku i nie ma nawet pomocników mówiących po polsku, a publiczność polska tam kupuje i arogantów wzbogaca.

Znałem pana Hilarego. Wybrał się w podróż do Wiednia. Było to już dawniej. W Krakowie na dworcu pyta konduktora po polsku, gdzie ma wsiadać. Konduktor odpowiada: „Nix polnisch, i die Nurdbon“. Pan Hilary poszedł do naczelnika stacyi, prosił o książkę zażaleń i jakoś znalazł się ktoś, co p. Hilarego zrozumiał. W Boguminie, pomny, że to Śląsk, a więc ziemia polska, kazał sobie po polsku dać śniadanie, i zrozumiano go w chwili, gdy nie mogąc się rozmówić, odchodził od stołu.

Gdy mu z magazynów drogi żelaznej przyniesiono książkę do podpisania, że jakąś posełkę otrzymał, nie podpisał, bo książka miała niemieckie nagłówki, a gdy podpisu koniecznie się domagano, uczynił to w ten sposób: „Na usilne prośby posłańca podpisuję, chociaż nie rozumiem ani rozumieć nie jestem obowiązany napisów niepolskich. Z woli Najjaśniejszego Pana język polski jest tu w kraju urzędowy, a zarząd dróg żelaznych nie ma prawa łamać postanowień Monarchy, zaś pamiętać powinien, że droga żelazna dla publiczności, nie publiczność dla drogi żelaznej i jej zarządu“.

Tak uczynił pan Hilary kilka razy i nazwano go dziwakiem, bo któżby tam zważał na takie bagatele.

Do pewnego handlu w Krakowie przyszedł p. Hilary kupić płaszcz dla córki i pyta kupca o cenę. Kupiec oświadcza: „*Ich verstehe nicht polnisch, bitte deutsch sprechen*“. Pan Hilary na to: „Skoro tu handel dla Niemców, proszę napisać ostrzeżenie na godle, a Polak nie będzie się trudził na piętro“ i poszedł płaszcza nie kupiwszy. Ale setki Polaków kupują, nie czują w tem zniewagi, obelgi, że jakiś zbogacony na wiedeńskim bruku Icek galicyjski zmusza ich, dla swej wygody, zapierać się ojczystego języka we własnej ojczyźnie. Gdybyśmy byli Czechami, taki pan kupiec alboby się nauczył i mówił po naszemu, alboby nikt u niego nigdy nic nie kupił. Żeśmy Polakami, to umiemy być grzeczni i pyszni z tego, że po niemiecku z lada kim rozmawiamy.

Ej, to bagatele! Tak? Prawda! Tak zawsze mówią marnotrawni na każdy zbytkowny wydatek grosza

A ileż to polskiego grosza płynie na „Pressy“ i „Blatty“ niemieckie? My chleb rzucamy psom, co na nas szczekają, i nie żal nam chleba, chociaż głodnimy sami, bardzo głodni! Wydawnictwa nasze, dziennikarstwo nasze, istnieją albo ofiarą możnych a ofiarnych, albo poświęceniem tych, co razowego chleba nie mają dla siebie z dziennikarskiej pracy. Nie hańbaż to, że w każdym lokalu publicznym znajdziemy więcej niemieckich niż polskich dzienników? Dla kogóż one tam istnieją? Czy dla tego półtrzecia Niemca, co tam kiedy niekiedy zajrzy? Nie, to my sami, lubujemy się w nich i wołamy o „Pressy“ i „Blatty“.

Precz z frazesem powtarzanym a pustym, że owe pisma są niby europejskiego waloru. Nieprawda. Nasze pisma mają walor ten sam, a wzrośnie on, gdy wzrośnie liczba abonentów. Rozumiemy aż nadto dobrze, że nie można oddzielić się, odkopać od Europy, od Zachodu, i wiedzieć nam trzeba i czuć, co tam się myśli i robi, boć cywilizacyą zrośliśmy z Zachodem jak bracia Siamscy, aleć na to są pisma i. książki naukowe, specyalne, poważne i nie Kladeradacze, Flohy, pruskie polakożercze illustrowane „Zeitungi“, co natrząsają się nieraz z biedy naszej i plują nam w oczy i szczekają jak psy, żrą jak szakale.

Mniejsza już o krzywdę językowi, mniejsza o pieniądz, co wrogów wzbogaca, ale czyż

---

mnie nie luzuje. Księżyc roztoczył się już na niebie i śród blasku księżyca widzę, jak w prawo i w lewo luzują się wedety, gdy do mnie nikt nie zagląda. Porucznik ** nie wiedział nic o mnie, bo nie słyszał rozkazu naczelnika, jak mnie na wedetę wysełał, a naczelnik zapomniał zupełnie, że mnie wysłał.

Byłbym tam stał do dnia sądnego, gdyby nie to, że rekonesans dotarł do mnie i zabrał mnie z sobą, innego na mojem miejscu zostawiając. Gdy wróciłem do dworu, już stał cały oddział dwójkami do marszu. Ściągnięto wedetę na mojem miejscu zostawioną i ruszyliśmy dalej, obaj z Ujejskim na szpicy, w awentgardzie za nami bracia Żelechowscy w pierwszej dwójce.

W niedzielę 5. lipca o świcie stanęliśmy w Nawarzycach i otoczyli plebanię. Porucznik ** z plutonem dragonów puścił się na rekonesans w stronę miasteczka Wodzisławia, a nawet zajął miasteczko. Zaraportował potem, że Moskali nie ma, że cała załoga, jaka tam była, wyruszyła do Miechowa, i że spodziewają się w Wodzisławiu przybycia oddziału Kosy.

Radość zapanowała wielka, że złączymy się z Kosą i podwojonemi siłami, w liczbie 200 koni, zaczniemy energiczniej występować.

Prosiliśmy księdza, aby wyspowiadał delikwenta z Gór sprowadzonego. Proboszcz wnosił instancye za nim, błagał, zaklinał, ale Mycielski zmiękczyć się nie dał. Poprowadzono delikwenta pod strażą do kościoła, a oddział tymczasem odpoczywał.

Plebania zamieniła się w restauracyę, bo każdy prawie dopraszał się herbaty, lub czegoś ciepłego. Niepodobieństwem było zaspokoić wszystkich, a że widziałem, jak trudno dostać się do upragnionego nektaru, obszedłem w około plebanię — dostałem się do apartamentów, zajmowanych przez jakieś kuzynki proboszcza. Komplementami, grzeczną rozmową, zyskałem sobie jakoś względy kobiet, a gdym wymienił nazwisko, pokazało się, że znają mych kuzynów, poczem już specyalny dla siebie otrzymałem samowar, szynkę, konfitury, słowem cała spiżarnia stanęła do mej dyspozycyi.

— Do koni! odezwała się komenda, trębacz dał sygnał, pożegnałem poczciwe panie, które spłakały się i już byłem we froncie.

Wyprowadzono delikwenta z kościoła, aby na śmierć poprowadzić, lecz wieśniacy miejscowi zanosili prośby, aby im oszczędzić wstydu i ohydy i egzekucyę poza wsią, w lesie wykonać.

Tymczasem drugi nasz rekonesans doniósł, że Moskale nadciągają do Wodzisławia. Zeszliśmy z gościńca i polami maszerowaliśmy na lewo od miasteczka, chcąc je obejść lasami.

Tym samym maszerowaliśmy porządkiem, jak do Nawarzyc. Ujejski i ja na szpicy, w awangardzie w pierwszej dwójce Żelechowscy, a garybaldczyk S. z Węgrami wysadził się na przód w prawo i w lewo na flanki.

Po półgodzinnym marszu, gdyśmy mając lasek nie wielki na prawo, na dość bystry pagórek spinać się mieli, pędzi z lewej strony S. z Węgrami i woła:

— *Les cosaques ici.*

Trębacz dał sygnał. Stanęliśmy.

— Awangarda naprzód, formuj front, ułani do ataku broń — zakomenderował naczelnik, Awangarda zrównała się ze szpicą, stoimy frontem.

— Bronku, daj wódki, bo u mnie manierka próżna.

— Nie mam.

— Niech się kolega u mnie napije, rzekł Jan Żelechowski i podał mi manierkę.

— Mam przeczucie, że będziemy rozbici, odezwał się hr. W.

— Ktoby się lękał kozaków, przemówił inny.

— Nawet ich widzieć nie będziemy; uciekną.

Trębacz dał sygnał do ataku.

— Kłusem, marsz! krzyknął Mycielski i wnet byliśmy na wzgórzu.

Ułani tworzyliśmy pierwszy szereg, drugi huzarzy, trzeci dragoni.

Przed nami długą linią stoją kozaki, na kilkaset kroków za nimi wysokie zboże. Dali do nas ognia z janczarek, ale kule świsnęły jeno nad głowami i zgubiły się, nic nam nie zaszkodziwszy.

— Hurra! hurra! — krzyknęliśmy z całej siły i wyciągniętym galopem szarżujemy na ko-

nie rozumiecie, że żywiąc się niemieckiem pismem, niemiecką książką, ssiemy z nich niemieckiego ducha, a marnotrawimy samodzielność duchową, odrębność narodową, właściwości dane nam przez Boga samego wraz z życiem Nie potrzeba Hakaty, nie potrzeba milionów na wywłaszczenie, boć sami się germanizujemy z szybkością epidemii. (C. d. n.)

Szaleńcy.

Jako dodatek do *Naprzodu* ukazała się odezwa do „kolegów i koleżanek", podpisana przez kilka stowarzyszeń akademickich (Promień, sekcya ak. Towarzystwa etycznego, Spójnia i Związek naukowo-towarzyski). Odezwa występuje przeciw temu, że „poważna instytucya naukowa, jaką jest Zjazd przyrodników i lekarzy polskich, poprzedza swoje obrady nabożeństwem w kościele katolickim". Dla owych młodzieniaszków, jest to „brak szerszego poglądu na życie i jego wymagania". O organizatorach zjazdu wyrażają się też z wyniosłą pogardliwością: że nie można było przypuszczać, aby nie zrozumieli, iż ma to być „zebranie ludzi kruszących bez wahania stare prawdy, by zastąpić je lepszemi".

Te frazesy byłyby tylko objawem niedowarzonej, czy zbłąkanej fantazyi młodzieńczej, gdyby nie to, że użyczył im poparcia i gościnności dziennik, reprezentujący stronnictwo, z którem można, czy potrzeba walczyć, ale nie podobna nie uznać, że należą do niego ludzie rozumni, a wielu z prawości charakteru znanych. To już nie wybryk dzieciaków rozkiełzanych, ale szaleństwo.

Jeżeli zaciskają się brutalne kułaki i grożą duchowieństwu, jeżeli fanatyzm wyznaniowy szarpie formy tej lub owej religii, można to sobie tem lub owem tłomaczyć, można to zrozumieć i nazwać złością, lub ciemnotą; ale zapęd, aby zniszczyć ideę religii, jej potrzebę, jej konieczność, aby zniszczyć religijność jako taką, to już aberacya umysłowa.

Zachwycasz się pięknością róży czy lilii, aż tu powiada ci „etyczny, promienisty" pajdokrata, żeś zacofaniec, boć czemże ta róża, ta lilia? Ot, tkanka roślinnych włókien; zetrzyj liść kwiatu w palcach i cóż z niego zostanie?

Poszedłeś w góry, zachwycasz się wspaniałym widokiem z turni i na turnie, aż tu uśmiecha się z ciebie szyderczo mędrzec ze związku naukowo-towarzyskiego i powiada ci, że nie masz „właściwego na rzeczy poglądu", boć to tylko spiętrzone kamienie.

Spoglądasz na obraz Rafaela, Tyciana, Matejki, Grottgera. Zachwycasz się Madonną Sykstyńską, unosisz się nad Racławicami, rozrzewniasz się Lituanią, a tu powiada ci wielce postępowy gołowąs, żeś zacofaniec, boć czemże się tu zachwycać, unosić i wzruszać, skoro to przecież tylko płótno, posmarowane barwnikami, w oleju rozpuszczonymi, lub papier, pomazany na czarno

Wsłuchałeś się w Szopena, czy w Mozarta. Dźwięki muzyczne wprawiły cię w rozkoszne rozmarzenie, ukoiły niepokój, rozpogodziły czoło. Dziwaku przesądny! Ucz się od pupilów *Naprzodu*, że to głupia słabość nerwów, boć owa muzyka, to tylko sztuczny hałas.

Dla zwierzęcia to istotnie tylko smarowane płótno, tylko sztuczne hałasy, ale nie dla człowieka. W człowieku jest ta siła, ta moc, ten pierwiastek, co tworzy piękno i dobro, co chce piękna i dobra, a tym pierwiastkiem duch nieśmiertelny, odłam Boga, tchnienie Boże!

A jak mu trzeba estetycznego i etycznego życia i użycia, tak trzeba mu też religii, jako szczytu duchowej potrzeby, jako łącznika z Bogiem, którego czuje w sobie i nad sobą.

Ukochałeś kobietę, pozyskałeś wzajemność, przysięgasz jej miłość dozgonną, bo żoną twoją będzie, a tu staje przed tobą zwolennik „kruszenia starych prawd" i naucza, żeś wstecznik, bez wiedzy, bez świadomości żadnej, boś ukochał kości powleczone mięśniami, które spajają ścięgna, a pokrywa skóra.

Rzecz jasna i wiadoma, że wieprz nie zachwyci się różą, tylko ją zgryzie, bo ona dlań tylko trawą, tylko żerem.

Wieprz nie ukocha samicy, nie pojmie jej za dozgonną towarzyszkę życia, bo ona dlań tylko samicą, a on dla niej tylko samcem.

Po co estetycznych i etycznych uniesień? Wszakże tak powiedzieć sobie powinni ci, co żadnej nie chcą religii, bo zastąpić ją pragną „lepszemi prawdami". A jakież to owe „lepsze prawdy" wyrastają na zburzonych ołtarzach? Znamy je przecież z historyi.

Co stało się z mistrzynią narodów: Helladą, co stało się z panem świata: Rzymem? Gdy poczęto urągać własnym bogom, gdy „augur śmiał się z augura", gdy religia stała się przesądem, zaćmiło się helleńskie słońce, zapanował w Rzymie „człowiek - zwierzę" i wnet runęła potęga Rzymu u stóp barbarzyńców.

Francya, nowoczesna mistrzyni Europy, Francya Ludwików, zaparła się religii w czasie wielkiej rewolucyi, uznała wiarę w Boga za szkodliwy przesąd, zamknęła kościoły, ale oddała cześć wszetecznicy i biła czołem, gdy ją po ulicach obnoszono.

Napoleon kopnął nogą i zdeptał gadzinę rewolucyi, co głosiła „prawa człowieka", a ludzkość zezwierzęcić pragnęła. I Francya odżyła w bohaterskiej epoce Napoleońskiej.

Przyjaciele, towarzysze „kolegów i koleżanek" w Warszawie, ośmielili się dotknąć obelgą świętość narodową i polskiego orła na sztandarze, białą gęsią nazwali. Oczywiście: wszystko przesąd, czy religia, czy narodowość!

Możnaby do tych mędrków zastosować starą bajkę: „Świnia za to: jaśnie panie, słowo w słowo moje zdanie".

Znało się już takich mędrków! Było to w jednym z obozów powstańczych w roku 1863. Młódź witała dzień pacierzem, pacierzem witała mrok nocy; gdzie można było zaśpiewać, śpiewała „Kto się w opiekę", lub „Pod Twoję obronę". Ale był młodzieniaszek, filozof wielki, śmiał się, szydził, nawet urągał modlitwie. Skarcono go ostrem słowem raz i drugi, więc butnie już się nie odzywał, ale zdala spozierał szyderczo.

Odezwał się pewnego razu, że „wtedy w Boga uwierzy, gdy Go zobaczy". W tej chwili wpada podjazd z doniesieniem, że Moskale idą od Wodzisławia. Ozwały się trąbki bojowe, rozległa się komenda w pochód, z bronią do ataku. W dwadzieścia minut zawrzała bitwa.

Powstańczy oddział rozbił rotę piechoty i setnię Kozaków, został na pobojowisku. Ale na pobojowisku kurczyły się ciała konających, rozlegały jęki rannych Pod drzewem wije się skurczony „filozof", oczy ma błędne. Przybiegają z pomocą, myśląc, że ranny. Zdrów zupełnie, jeno szarpie mundurek na piersi, targa włosy na głowie, trzęsie się febrycznem drganiem i woła: „Boga! chcę Boga! nauczcie mnie modlitwy, żegnajcie mnie krzyżem. Łotrzy, co mi wiarę wydarli!" Otoczyli go towarzysze broni, uspakajali, odmawiali pacierz, a on go powtarzał.

Uspakajał się zwolna, po godzinie zalał się łzami i uspokojony już zawołał: „Jest, jest Bóg, jedyne źródło siły moralnej". I od owej chwili śpiewał pieśń nabożną z innymi, mówił ranne i wieczorne pacierze i twarz mu rozjaśniła się, wyszlachetniała

To nie wymysł, to fakt, na który patrzyło trzystu powstańców.

Przed czterdziestu kilku laty zamieszkali razem, w jednym pokoju, dwaj przyjaciele akademicy. Jeden był katolikiem, a drugi żydem. Katolik nabożny był, pełen wiary, a żyd ani się modlił, ani do synagogi nie zachodził Bolało to przyjaciela katolika, więc czyni koledze wyrzuty i nakłania go do nabożności. Żyd śmieje się i nazywa religię przesądem, na co katolik powiada:

— Słyszałem raz od starego żyda, że w księgach żydowskich napisano tak: „Jeżeli jedziesz na wozie z innowiercą, a on nie pokłoni się, nie odda po drodze czci swojej świątyni, to zleź z wozu czemprędzej i uciekaj, bo to musi być zbój, morderca". Otóż ja ucieknę od ciebie i nie będziemy razem mieszkali, a to po myśli owych słów starego żyda.

Żyd kolega przywiązany był do wieloletniego przyjaciela, więc obiecał, że zacznie pracować nad sobą, aby wiarę odzyskać, byle się tylko nie rozstali. Nadeszły jesienne święta żydowskie Katolik rzecze do żyda:

— Chodź do synagogi.

Poszli. Odprowadził żyda katolik aż do

---

zaków; w tem kozacy w jednej chwili giną nam z oczu, skręcając się w lasek, a ze zboża rotowym ogniem plunęła na nas piechota. Dragoni nasi odpowiedzieli, ale oddział się zachwiał, wielu zwaliło się z koni i już nie bacząc na komendę, pół obrotem w prawo, zbaczamy do lasu za kozakami. Mój stępak trafiony kulą w same piersi, przewraca się ze mną i przywala mnie całym ciężarem. Zanim wygramoliłem się z pod niego, już tylko ranni, polegli i okaleczałe konie w około, a oddział cały dopada do lasu, pędząc kozaków, sam przez piechotę spędzony.

Przyznam się, że nie małego doznałem strachu, widząc się zupełnie opuszczonym, śród jęków rannych i okrzyków moskiewskich:

— Pastoj, nieujdjosz!

Cudem jakimś dopadłem pieszo do lasu i dotarłem do swoich, którzy właśnie zatrzymali się dla sformowania na nowo i pędzenia kozaków, nie mogąc oczywiście w tak małej liczbie uderzać na piechotę, w czworobok zbitą. Przykry to był widok, jak konie ranione, dopędziły nas, padając co chwilę i podnosząc się na nowo, a serce pękało z bólu za tymi, co zostali na pobojowisku na pastwę żołdactwa moskiewskiego.

Byłem bez konia, lecz kilka koni znalazło się wolnych i zdrowych; kolega M. prowadził ich dwa i zaraz mi jednego odstąpił.

Ponieważ piechota rosyjska tymczasem na wozach zachodziła nam drogę, udaliśmy się w Sancygniewskie lasy, aby tam czekać na złączenie się z Kosą.

Za przybyciem w głąb lasu, rozłożyliśmy się obozem i czekali na wiadomości, jakich nam o Kosie udzielić miano. Obliczaliśmy się, brakowało nas dwudziestu kilku; konie były poodparzane od złych terlic i nie było prawie zdrowego Tutaj dowiedziałem się z opowiadań, że owego delikwenta z Gór, gdy go nie było czasu powiesić, zabito strzałem z rewolweru.

Długie minęły godziny na oczekiwaniu. Mycielski ogromnie był zmartwiony, znękany, niemal w rozpaczy. Był to gentilhome w całem tego słowa znaczeniu, dla sprawy całem sercem oddany, duch prawdziwie obywatelski, rycerski. A było czego się dręczyć, bo nie ulegało wątpliwości, że kampania nasza albo się skończyła dzisiaj, albo skończy się jutro, gdyż konie niedługo zupełnie staną się do niczego, a nawet już teraz prawie są nie do użycia. Siły nasze nieliczne, gdyby nawet z Kosą połączone, nie wiele zdziałają, chyba gdybyśmy zupełnie nowe dostali konie, lepsze terlice i broń odpowiedniejszą.

Skończyło się wreszcie oczekiwanie nasze, przyszła bowiem wiadomość, że Kosa, mając konie zupełnie zużyte, ludzi chorych, przechodzi granicę. Podobno Czachowski wówczas był w Opoczyńskiem, ale nie mogliśmy nawet marzyć o tem, aby się dostać do niego, bo w koło były znaczne siły moskiewskie, a w Opoczyńskie daleko, zwłaszcza na okaleczałych koniach.

Po krótkiej naradzie postanowiono wracać da Galicyi. Z tego powodu przykrą była pozycya kilku kawalerzystów, którzy służąc w wojsku austryackiem, złączyli się z nami i byli prawdziwą podporą oddziału.

Z Sancygniewa wyruszyliśmy nocą forsownym marszem, przeważnie kłusem, do Racławic. Deszcz zaczął padać, burza zerwała się szalona — potem ulewa okropna. Ciemno było tak wielkie, że nikt nie widział dokładnie swego poprzednika. Gdyśmy się w lesie Racławickim znaleźli, niepodobieństwem było posuwać się dalej, bo moglibyśmy byli pogubić się najzupełniej i pozabijać w wąwozach.

Śród tej okropnej ulewy, staliśmy w ciemności lasu, jak pod tuszem. Zmęczone konie kładły się pod nami, a że każdy, bojąc się zgubić, nie odstępował i nie schodził z konia, więc leżeliśmy na nich, jak na materacach. Przemokli, zziębnięci, niepewni losu, nie mogliśmy się doczekać rana, a z nim światła i może pogody.

Wschodzące słońce witaliśmy jak Mahometanie serdeczną modlitwą, bo i ciemnice przepadły i deszcz ustąpił miejsca pogodzie jasnej, przejrzystej. Lekki powiew wiatru i ciepło słoneczne podsuszyły nas znacznie, i już jakby pokrzepieni przybyliśmy do Dziemierzyc. Było to w poniedziałek 6. lipca.

Zajęliśmy folwark; konie powiązali do płotów, nakarmili, napoili — a sami na folwarku gospodarujemy, ciśniemy się jak można, aby tylko dosuszyć się i ogrzać Śmieszne prawdziwie były sceny toaletowe, jakie wyobrazić sobie łatwo, gdy

drzwi świątyni. Potem żyd począł już sam do synagogi uczęszczać.

Ukończyli uniwersytet, rozeszli się i spotkali dopiero po trzydziestu latach Żyd był ze synem, młodzieńcem dorosłym. Uściskali się przyjaciele po bratersku, a żyd rzecze do syna:

— Temu przyjacielowi mojemu zawdzięczasz, że nie zostałeś sierotą. Gdy matka twoja umarła, tak rozpaczałem za nią, że była chwila, gdy chwyciłem za rewolwer, aby życie skończyć. Stanął mi wtedy przed oczyma ten to przyjaciel, który mnie nauczył wierzyć w Boga, zdawać się na Jego wolę i znosić Jego ciosy. Ten katolik nauczył mnie żyda, że wiara jest siłą, dźwignią, szczęściem i koniecznością życia.

To nie wymysł, to fakt.

Niechże żakostwo nie puszy się spłowiałymi frazesami, bo to już dobrze znane aberacye młodzieńcze.

Bóg był, jest i będzie, a ludzie będą zawsze w to wierzyli, i zawsze będą wyznawali religię, bo ona jest koniecznością życia, jak koniecznością jest powietrze do oddychania i pokarm do utrzymania organizmu. Natomiast niejeden z tych promienistych, etycznych (?), z owej Spójni i z owego Związku, doczeka się losu owego „filozofa“ w obozie powstańczym.

Naród nasz chce żyć, chce się dźwigać i doczekać lepszej doli dziejowej, a więc nie zaprze się religii, która dlań była siłą i dźwignią, nie nazwie nigdy swojego orła gęsią i będzie szedł po drodze życia z miłością Boga i ojczyzny.

Czesław Pieniążek.

Z prologu do dramatu.

...I wicher świszczy. Przyleciał skądś z dala,
z północnej strony dalekiej przyleciał,
zatargał oknem i skrzydłem uderzył
w zamek. jak poseł, któremu już pilno
polecieć dalej i budzić po świecie
rozpierzchłych, wołać, ażeby wracali,
by szli co rychlej tam, gdzie wichry huczą,
gdzie po ulicach są wichry czerwone
i ludzie żyć się od piorunów uczą
i umrzeć od gromów...
Leży list na stole;
to siostra pisze: „Bracie mój, sokole,
tak oczekuję Twojego przybycia!
Piersi nam tutaj pod naporem życia
pękają prawie, i śmierć się przedziwnie
stała podobną życiu. Ja wiem, ty w nie
możesz nie wierzył — wczora. Lecz dziś, bracie,
ognie czerwone znów uderzą na cię
i twarz rumieńcem ubarwią. Godzina
wybiła i oto burza się wszczyna! — —
Czy ty pamiętasz, gdyśmy dziećmi byli,
jak ojciec prawił nam o owej chwili,
kiedy to wyszedł w taką noc styczniową,
mając rozwity sztandar ponad głową
i strzelbę w garści, — a grały mu działa,
a jeszcze huczniej krew mu w piersi grała?
I czy pamiętasz, jakeś Ty, chłopczyna,
zazdrościł ojcu tej chwili? Godzina
wybiła, mówię. Jesteś tu potrzebny —
chociażby na to, by umrzeć. Podniebny
lot wzięły myśli nasze... Nieprzystoi
siedzieć w swym bólu, jakby w rdzawej zbroi,
patrząc bezczynnie na morze i słońce,
gdy tu przyszłego wieku pędzą gońce,
z krwi czyniąc zasiew ..“

Jerzy Żuławski.

Z naszej doli i niedoli.

Zabór rosyjski.

Nękanie duchowieństwa katolickiego. W zaborze rosyjskim nie ustaje srożyć się zaciekły nacyonalizm, zły i niedorzeczny. Każdy zdrowy nacyonalizm objawia się w miłości ojczyzny, w pracy nad jej rozwojem. w usiłowaniu, aby naród doskonalić etycznie, kulturalnie i ekonomicznie. Nacyonalizm rosyjski ma raczej cechę nihilizmu, bo o własne sprawy nie troszczy się, o doli własnego narodu nie myśli, jeno umie nienawidzieć i niszczyć, co nie rosyjskie. Stara to tradycya, czy stary duch tatarski. Napadać, rabować, niszczyć, zabijać — to było ideałem tatarszczyzny. Niczego nie tworzyć, a wszystko obalać! Nihilizm i zbratany z nim nacyonalizm rosyjski, to nowoczesna tatarszczyzna.

W imię tego nacyonalizmu nęka się polskość i katolicyzm. Rewizye konsystorzy, wymierzanie dotkliwych kar duchownym, pod jakimkolwiek pozorem, ponawiają się bezustannie. Oto na rozkaz ministerstwa spraw wewnętrznych w Petersburgu, skazano X. Rogowskiego, proboszcza w Czarnym Ostrowie na Podolu, na pozbawienie probostwa i przeniesienie na stanowisko wikarego, do parafii odległej. Ta kara spadła na czczonego powszechnie kapłana za to, że „ośmielił się“ przyjąć do swej parafii kilku prawosławnych, którzy przyjęli wiarę katolicką.

Z Chełmszczyzny. Komisya „wniosków ustawodawczych“ Dumy, wydała orzeczenie o sprawie wyłączenia Chełmszczyzny z obszaru Królestwa Polskiego. We wstępie do owego orzeczenia jest ciekawy wywód historyczny, usiłujący dowieść, że „dzisiejszy kraj chełmsko-podlaski jest ziemią czysto rosyjską i dlatego jest własnością narodu rosyjskiego“ Powiada następnie „historyk“, że „zuchwałe napady polonizmu i katolicyzmu, tudzież podstępy Jezuitów, usiłowały przez wieki kraj ten oderwać od Rosyi, a ludność spolszczyć, jednak ludność przechowała wiernie rosyjską mowę ojców i pragnie zrzucić z siebie narzucone jarzmo katolicyzmu, a więc trzeba jej użyczyć opieki“. Po takim wywodzie „historycznym“, komisya przedkłada Dumie wniosek, aby Chełmszczyznę wyłączyć, gdyż „wyodrębnienie kraju chełmskiego jest nie zbędne zarówno dla dobra Rosyan, jak i dla dobra Królestwa Polskiego“.

Szpiegostwo na pocztach. Jeden z najpoważniejszych przemysłowców krakowskich, ogłasza następujące ostrzeżenie: „Od dłuższego czasu spostrzegam, że korespondencya handlowa do Królestwa Polskiego, o ile wysyłana jest listami zwykłymi, bardzo często nie dochodzi adresatów. Myślałem, że są to może przypadkowe wypadki; od osób innych, z których korespondencyą listową dzieje się jednak to samo, dowiedziałem się, iż od pewnego czasu na nowo odżył system konfiskowania, przez władze rosyjskie, poczty prywatnej. Skutkiem tego wszelki normalny przebieg interesów handlowych Galicyi z Król. Polskiem jest niemożliwy, a co więcej, stan taki może niejednego narazić na poważne straty. Odczuwszy to na własnej skórze, poczuwam się do obowiązku zwrócenia uwagi interesowanych, by w korespondencyi z Królestwem posługiwali się listami poleconymi, o ile chcą mieć tę pewność, iż listy dojdą do rąk adresatów“.

Zaciekłość i prostactwo. Na zjeździe dziennikarzy słowiańskich w Belgradzie, osławiony „pożeracz“ Polaków, rozgłośny Wergun, dopuścił się prostackiego wybryku, w nadmiarze zaciekłości Wiadomo, że czeską pieśń *„Hej Slovane“*, śpiewa się na nutę naszej: *„Jeszcze Polska nie zginęła“*. Gdy ją muzyka zagrała, Wergun w brutalny sposób zaczął się miotać i wykrzykiwać i żądał, aby natychmiast zagrano *„Boże cara chrani“*. Odpowiedziano mu, że w programie muzycznym nie umieszczono hymnów państwowych, ani austryackiego. chociaż przybyli dziennikarze z Austryi, ani węgierskiego, ani bułgarskiego i t. d. jeno pieśni narodowe, a zatem i rosyjskiego hymnu państwowego muzyka grać nie może, a nawet nie powinna, bo w takim razie musiałaby wygrywać wszystkie hymny państwowe. Nie wystarczyło tak jasne, tak sprawiedliwe wyjaśnienie rzeczy i Wergun demonstracyjnie wyszedł, a z nim podobni do niego towarzysze. Następnie Wergun spoliczkował dziennikarza serbskiego Kovacewicza.

Nie ulega wątpliwości, że panom Wergunom i Filewiczom zachciało się, aby zjazd dziennikarzy słowiańskich w Belgradzie poddać pod kierownictwo rosyjskie, a dziennikarzy zachodnio-słowiańskich zepchnąć na stanowisko podrzędne. Sięgali po komendę, a że jej powierzyć im nie chciano, że Serbowie z godnością i powagą kierowali wszystkiem, stąd gniew, uraza, zaciekłość i prostactwo.

I tak źle i tak nie dobrze. *Now. Wremia*, dziennik zaciekle nacyonalistyczny, a więc ziejący nienawiścią na wszystko, co polskie, zwykł srożyć się, gdy spostrzeże, że Polacy z tych, lub owych powodów, unikają tu i owdzie zetknięcia się z Rosyanami. Możnaby mniemać, że towarzyskie zbli-

---

przedewszystkiem bieliznę suszyć wypadało. W chwili wcale niepożądanej dano nam znać, że Moskale ciągną od Racławic; stało się nam podobnie, jak na „sejmiku w Sądowej Wiszni“ Pola, lecz jakoś w pół godziny wszystko do marszu stanęło gotowe.

Kilkunastu z nas już przedtem postanowiło nie przekraczać granicy, jeno rozprószyć się po kraju i czekać sposobności przyłączenia się do jakiego oddziału. Wstyd nam było wracać do Krakowa po kilkudniowej wyprawie. Otrzymawszy pozwolenie od naczelnika, zostałem z innymi; pożegnaliśmy się z oddziałem, który kłusem puścił się ku południowi. Z pół godziny jeszcze zostaliśmy w Dziemierzycach, poczem i nasza garstka rozprószyła się, aby już nigdy nie zejść się razem. Świadomi okolicy, w tamtych stronach zamieszkali, konno, broń w Domierzycach zostawiwszy — popędzili w lasy, każdy w inną stronę, ja zajechałem do jednego z moich kuzynów najętym wózkiem, konia sprzągłszy luzem. Oczywiście sądziłem, że nie zbyt pożądanym będę mu gościem, mimo serdecznych stosunków, jakie nas łączyły i dlatego chciałem odpocząć jeno, zasięgnąć wiadomości i puścić się dalej. Jednak stosunki z władzami moskiewskiemi lepsze były, niż mniemałem, i kuzynek mój nietylko się nie przestraszył mojego przybycia, ale rad mi był serdecznie. Zmartwiłem się niemało przekonany, że ani myśleć o przyłączeniu się do jakiego oddziału, gdyż nigdzie w całem Krakowskiem żadnego już wówczas nie było ruchu. Nie pozostawało nic innego, jak z rzadką miną wracać do Krakowa. W piątek dnia 10. lipca czapkę mundurową schowałem w kieszeń, kapelusz słomiany włożyłem na głowę, na mundur białą kitlę od pyłu, paszport w rękę, i tak siadam na wózek.

Zajeżdżam na komorę do Michałowic; oczywiście obwieszczyki mnie zatrzymują i prowadzą do biura. Urzędnik mierzy mnie bystro; wytrzymałem spokojnie wzrok przenikliwy; chciał coś mówić, lecz przerwał, podpisał paszport, oddał mi go w milczeniu — i po chwili spinam się na wózek, a tu czereda strażników obstępuje, każe złazić, przetrząsa wózek, rozrzuca siano, a wciąż patrzy na mnie.

— Co to ma znaczyć? — myślę sobie; lecz furman przerwał rozmyślanie, szepcąc mi do ucha:

— Niech im pan da na wódkę, bo będą nas trzymali do wieczora.

Z duszy, serca — pomyślałem, i pakuję każdemu w rękę po kilkadziesiąt kopiejek; ale już i drobnych brakuje, więc wyciągam dwa ruble i daję jednemu z nich, aby podzielił się z tymi, co nie dostali.

W jednej chwili siano związane było w kielni, wózek uporządkowany, wszystko było w porządku — jakieś podziękowania się ozwały i ukłony bez końca. Przy rampie stał żołnierz od piechoty. Okropny widok. Mundur ciemny, połatany; zamiast spodni, jeno bielizna z grubego, ciemnego płótna, podarta na kolanach. Na nogach buty wysokie, jakie zwykle noszą wieśniacy, z palców wyłazi słoma, twarz nabrzękła, oczy mgliste, cała postać podobniejsza do opryszka, niż do żołnierza. Podniosła się rampa i dzięki Bogu byłem już poza pazurami caratu.

Między komorą austryacką a rosyjską, znajduje się karczma, a obok niej studnia, z której tak Moskale, jak i Austryacy czerpią sobie wodę. Gdy nadjechałem w to miejsce, dwóch Moskali ciągnęło wodę, wraz z żołnierzem austryackim, z pułku węgierskiego piechoty. Moskal niechcący oblał wodą Węgra, ten rzuca się na niego i kułakuje bez litości. Moskal krzyczy w niebogłosy, a towarzysz jego ucieka na szosę, chwyta kamienie i rzuca je na Węgra Zobaczyli to inni Węgrzy z karczmy, wypadli i zaczęła się bójka gwałtowna, w której poraniono obu Moskali i nawet możeby ich zabito, gdyby nie patrole austryackie, które ich ocaliły.

Takie sceny, jak mi potem opowiadano, powtarzały się często, dopóki nie ściągnięto pułku węgierskiego z granicy Nienawiść Moskali, jest niemal wrodzoną Węgrom, zwłaszcza lud nie umie jej neutralizować względami politycznymi.

Wróciwszy do Krakowa, wstydziłem się okropnie, że z tak krótkiej powracam wyprawy. Po kilku dniach, wyjechałem na wieś do rodziców na kilka tygodni.

Dopiero z początkiem października powróciłem do Krakowa, aby znowu być gotowym do służby. Wówczas już ruch cały koncentrował się więcej na wschodzie kraju — a przygotowania wszelkie, we Lwowie już raczej, niż w Krakowie, znajdowały ognisko i punkt oparcia.

Cz. P.

żenie się Rosyan i Polaków, zadowoli ów dziennik. Ale i to złe i tamto nie dobre dla pisma nacyonalistycznego. Oto gniewa się *Now. Wremia*, że szlachta rosyjska na Wołyniu, woli obracać się w towarzystwie szlachty polskiej, niż żyć z czynownikami i popami. Ciska gromy na nią i szydzi, że hr. Józef Potocki stał się, jakby królem wołyńskim i stworzył „dwór“, a Rosyanie upadlają się przez to, że poczytują sobie za wielki zaszczyt, gdy mogą bywać u „dworu“ i okazywać temu „królowi“ wołyńskiemu czołobitność. W tem wszystkiem upatruje *Now. Wremia* wielkie dla Rosyi niebezpieczeństwo i domaga się, aby szlachta rosyjska zerwała stosunki towarzyskie z polską, a żyła tylko z urzędnikami i popami, którzy jedynie reprezentują Rosyę.

Prześladowanie szkółek polskich na Litwie. Gubernator wileński, Lubimow, zakazał tworzenia szkółek polskich, nauczania polskiego języka pod karą 500 rubli, lub trzechmiesięcznego aresztu. Zakaz ten wystosowano do mieszkańców Wilna i Smorgoń, gdzie liczna ludność polska pragnęła kształcić dzieci w ojczystym języku.

Zabór pruski.

Literatura polska obali Prusy. W Gębicach, w Poznańskiem, miano przedstawić na scenie dramat historyczny p. t. *Ewa Miaskowska*. Policya zakazała przedstawienia, uzasadniając zakaz orzeczeniem, iż „treść sztuki jest tego rodzaju, że może w wysokim stopniu rozbudzić i wzmocnić polskie uczucie narodowe“. Wydział powiatowy, jako wyższa instancya, zakaz ten zatwierdził, a najwyższy sąd administracyjny w Berlinie uznał wyrok ten jako prawomocny. Interesujące jest uzasadnienie tej decyzyi. Brzmi ono jak następuje: „Sztuka p. t. *Ewa Miaskowska* opisuje oblężenie przez Turków w r. 1675 jednej z twierdz polskich. Ewa Miaskowska występuje w niej jako bohaterka polska. Zachodzą w sztuce pełne polotu mowy o ojczyźnie polskiej, którą należy zawsze i wszędzie otaczać miłością. Inne ustępy tej sztuki czczą Ewę Miaskowską, jako bohaterkę, która daje Polakom rękojmię, że nie upadną nigdy na duchu. Kobiety polskie poniosą śmierć raczej, niżby miały spokojnie przyglądać się temu, gdy ojczyzna w niebezpieczeństwie. Takie uwypuklanie polskiego uczucia narodowego musi także w szacie historycznej na słuchaczów oddziaływać w tym względzie, że wzmacnia polskie poczucie narodowe, a skutek może być tylko ten, że rozpala się jaskrawo wszelkie nadzieje na nowe polskie życie narodowe. W takich warunkach należy się obawiać wstrząśnienia stosunków istniejącego ustroju państwowego“.

Gorączka hakatystyczna. Jeden z przewódców hakatyzmu, radca Wagner, wydał świeżo broszurę w Berlinie p. t. *Materialien und Bemerkungen*. Wylicza w niej wszystkie publikacye „*Ostmarkvereinu*“, przemawiające za bezzwłocznem wywłaszczeniem i domaga się natarczywie, aby go jaknajprędzej dokonano.

Polska szkoła nauk politycznych w Krakowie. Założenie w Krakowie polskiej szkoły nauk politycznych wywołało w dziennikach hakatystycznych ogromne oburzenie. *Post*, przytaczając w ogólnych zarysach program nauk, pisze: „Nie trzeba zbyt wielkiej umiejętności czytania między wierszami na to, aby się przekonać, że chodzi tutaj o szkołę, w której mają być wykształceni przyśli kierownicy i agitatorzy dla wszystkich trzech zaborów, czyli o nowe źródło wszechpolskiej agitacyi, przy którem mają sobie dać *rendez-vous* studenci i nauczyciele z Rosyi, Prus i Galicyi“. *Reichsbote*, organ pastorów, twierdzi, że szkoła ta będzie miała za zadanie wytwarzać ludzi, idących do walki — „przeciwko kulturze niemieckiej, którą Prusy starały się zaszczepić we wschodnich prowincyach niemieckich, z nakładem olbrzymich ofiar finansowych. Wydaje nam się przeto konieczne odpowiednie oddziałanie na naszego sprzymierzeńca w Wiedniu, aby to źródło polskości nie było kierowane przez państwowych profesorów i popierane przez państwowe subwencye. Tyle względów możemy chyba wymagać od naszego sprzymierzeńca“.

Pociecha hakatystów. Nie mogąc się doczekać wywłaszczenia, szukają hakatyści pociechy na innem polu. *Schlesische Zeitung* donosi świeżo z wielką radością, że, wedle urzędowej statystyki, przemiana nazwisk polskich na niemieckie przybiera w ostatnich latach coraz większe rozmiary, a wszystkie podania o zmiany uwzględniono. W roku 1909 zmieniło nazwiska polskie na niemieckie 618 osób, w r. 1910 zaś 735, z tych na samo Poznańskie i Śląsk Górny przypada blisko 500. Również miejscowości polskie dostają nazwy niemieckie, o ile gmina tego sobie życzy. *Schls. Ztg.* zamilcza jednakże o nacisku wywieranym przy tych „dobrowolnych“ wnioskach o zmianę tak nazwisk polskich rodzinnych, jak i miejscowości. Na wszystkich na jakiemkolwiekbądź zależnem stanowisku, a mianowicie na mniej oświeconych, presya jest ogromna; organ hakatystyczny nie wspomina również, że wiele miejscowości całemi siłami broni się bezskutecznie od zmiany starodawnej nazwy.

Gdyby chwalby *Schls. Ztg.* były rzetelne, wypadałoby ręce załamać z żalu; wiadomo atoli, że to kłamliwe przechwałki, że dobrowolnie, chyba nie liczne, znikczemniałe jednostki wyrzekają się narodowości, a innym narzuca się nazwiska niemieckie, pod groźbą najdotkliwszego prześladowania.

Więzienie za sumienną opiekę. W Tczewie, w Prusach królewskich, umarł urzędnik kolejowy, a w kilka dni zmarła jego żona. Zostawili córeczkę sierotę pod opieką p. Świniarskiego, urzędnika stowarzyszeń polskich. Pani Świniarska po macierzyńsku przytuliła sierotę, najgorliwiej troszczyła się o jej wychowanie i wykształcenie i rzecz jasna, iż polskie dziecko posyłała na naukę polskiego języka. Gdy się o tem władze pruskie dowiedziały, odebrano p. Świniarskiemu z urzędu opiekę nad dzieckiem, uzasadniając rozporządzenie tem, że p. Świniarski dopuszcza się knowań polskich“ i „powierzone swej opiece dziecko wychowuje w zgubnych dla niego, a niebezpiecznych dla powagi państwa zasadach, rozbudzając w niem niedorzeczne marzenia o polskiej ojczyźnie“. Nakazano też oddać sierotę policyantowi, którego po dziecko przysłano. Gdy pani Świniarska policyantowi dziecka powierzyć nie chciała, skazano ją na pięć dni więzienia i, mimo wszelkich zabiegów prawnych, zamknięto.

Tak mi się zdaje.

(Wyjątek z teki nudziarza).

1. Wzajemna uprzejmość pomiędzy ludźmi, jest najmilszą przyprawą życia.
2. Plotkami ludzie bawić się zwykli, ale plotkarzami pogardzają.
3. Nikczemnik miota oszczerstwa, a głupiec na nie zważa.
4. Kto drugim schlebia, ten się poniża; kto schlebia sobie samemu, ten się gubi.
5. Najtrudniej wymierzyć sprawiedliwość samemu sobie.
6. Najmniej słuchaj tych, co wiele mówią.
7. Nie patrz drugim w misę, bo się własnem jadłem udławisz.
8. Miłość otwiera bramy szczęścia na chwilę, uczciwe życie na zawsze.
9. Serce przeznacz na mieszkanie cnoty, a rozum na przybytek prawdy.
10. Kto się nie własną, lecz drugich wciąż zajmował [cnotą,
Idąc, nie patrzył pod nogi, więc też runął w błoto.

Cz. P.

Kącik językowy.

Chwasty dziennikarskie. W jednym i tym samym numerze, bardzo poważnego dziennika, były następujące błędy:

„Nauka jazdy na kole „została otwartą w Sokole“ i „będzie prowadzona przez zarząd oddziału kolarskiego“. Otworzyć można drzwi, wrota, skrzynię i t. d., a nauka, to nie skrzynia. Zapewne „nauka się zaczęła“ i chyba tak powiedzieć należało. Również niepodobieństwem jest „prowadzić“ naukę, boć prowadzić można kogoś, lub coś, co zdolne samo się poruszać, a więc dziecko prowadzi niańka, prowadzi się psa na smyczy, krowę na sprzedaż i t. d. ale nauką można „kierować“, nauki można „udzielać“, a więc po polsku byłoby tak: „Nauką jazdy na kole, rozpoczętą w Sokole, będzie kierował zarząd oddziału kolarskiego“, albo też: „nauki... i t. d. będzie udzielał...“ Należy też pamiętać, że język nasz form biernych unika, więc i pod tym względem „została otwartą“ i „będzie prowadzoną“ nie zgodne z właściwością mowy naszej.

Prawdziwą plagą języka naszego stało się używanie czasowników: „prowadzić, przynosić, przychodzić“ w tem znaczeniu, w jakiem używają ich Niemcy. Jak nie można prowadzić nauki, tak również nie może odczyt „przynosić czegoś“.

A jednak czytamy w owym dzienniku: „Pan X... w odczycie, wiele nowych rzeczy przynoszącym“. Wprost wstrętna naleciałość, zawiana z niemieckiego języka, a tak starannie pielęgnowana w dziennikach i to nie podrzędnych, redagowanych pośledniemi siłami, ale bardzo poważnych. Pisywać tam zwykli: „Telegram z N. Yorku przynosi wiadomość, zamiast: „podaje, zawiera, umieszcza“. A więc i odczyt p. X. zawierał wiele nowych rzeczy, a nie: przynosił.

„Władza polityczna stawia przeszkody“. Owo „stawianie“ przeszkód, wniosków i t. d. to również germanizm (*Hindernisse, Antragstellen*). Władza polityczna czyni przeszkody, a nie: stawia; poseł w sejmie uczynił wniosek, a nie postawił.

„Szczegóły powyższej defraudacyi“. Jakież to bałamuctwo!! Co znaczy: powyższy, skoro nie ma: powysoki? Co znaczy defraudacya wyższa? Jeżeli jest wyższa, to może być i niższa. Zapewne autor myślał o defraudacyi „poprzednio opisanej“, a skoro tak, to czemuż nie pisze, jak myśli?

„Nie prowadzą więc żadnych metryk“. Germanizm. Metryka nie jest żyjącą istotą, aby ją prowadzić można; metrykę można spisać lub wypisać, a więc należało powiedzieć: „Nie spisują (wpisują) metryk“.

„Boisko.. będzie należeć“. Możnaby powiedzieć: „Należeć będzie“, ale właściwie: „Będzie należało“. (Gramatyka Małeckiego).

„Czekając dalej, z prawdziwie wschodnim fatalizmem“. Skoro „czekając dalej“ to możnaby myśleć, że ktoś inny „czekając bliżej“. „Daleko, dalej, blisko, bliżej“, stosować się może tylko do przestrzeni, jak: „dalej do domu“, „bliżej do miasta“, ale „czekać dalej“ (weiter warten), to w języku naszym niedorzeczność. Należało powiedzieć: „czekając dłużej“, lub owego „dalej“ wcale nie pisać, bo zupełnie zbyteczne.

„Chciał coś ocalić z płomieni, i już nie wrócił więcej“ Może ktoś inny wrócił mniej? Znowu germanizm. (*Kehrte nicht mehr zurück*). Owo „więcej“ zupełnie zbyteczne, dodatek szpetny. Po polsku wystarcza: „I już nie wrócił“

„Przyszło do groźnych awantur“, „przyszłoby do większego nieszczęścia“. (*Es kam zu...; es mochte kommen*). W polskim języku jest to wprost niedorzeczność. Co przyszło? czemu nie przyjechało? po co? na co przychodziło do awantur? To coś, co przyszło, było bardzo głupie, skoro szło do awantur i do nieszczęścia. Już tyle razy nadmienialiśmy, że uczeni niemieccy (Max Muller, Leskin, Bopp) sami uznają, iż język niemiecki jest bałamutny, zawiły, a polski jasny, przejrzysty. Czemuż używamy zawiłości i bałamuctw niemieckich, zamiast jasnych wyrażeń własnych? Otóż po polsku: „Powstały groźne awantury“ (wybuchły, zrobiły się); a „stałoby się większe nieszczęście“.

Cz. P.

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Budowa kanałów. Zapowiedziana w mowie tronowej budowa kanałów, napełnia otuchą, że wreszcie, po tylu latach zwłoki, dawno uchwalona ustawa kanałowa wykonaną zostanie. Ale nie dość pozyskać kanały; trzeba z nich umieć korzystać. Nasuwa się nie małe niebezpieczeństwo, że obcy kapitał rzuci się ku eksploatacyi wszelkiego surowca, którego w kraju naszym obfitość, aby go wywozić tanio za granicę dla użytku fabrycznego. Należałoby gromadzić kapitał własny, tworzyć spółki, aby surowiec w kraju przerabiać fabrycznie. Niebezpieczeństwo rośnie dla zagłębia krakowskiego. Już wdarł się tu kapitał pruski i pruski żywioł narodowy i rozpanoszył się bardzo; gdy będą kanały, najazd prusactwa wzmoże się jeszcze bardziej. Niech kanałami płynie praca nasza, ku zachodowi a nie wyzysk przedsiębiorców obcych, czyhających na to, by się bogacić na zagonie naszym. Niedbalstwo nasze, nieporadność, sprawiły już wiele złego. Sprawiły, że obcy, przybysz, nawet wróg, bogaci się u nas i bogacić umie, a my coraz ubożsi. Fachowe pisma ekonomiczne powinnyby wytknąć plany finansowe, a dzienniki je popularyzować, rozpowszechniać; do czujności, poradności i przedsiębiorczości nawoływać.

Przemysł browarniczy. I sama wystawa browarnicza i daty statystyczne, zebrane ściśle przez zarząd wystawy, bardzo dla nas pouczające. Browarnictwo nasze musi ciężko walczyć z obcą nieuczciwą konkurencyą, która, wskutek zniesienia prawa propinacyi i apatyi naszego ogółu, wzmogła

się niepomiernie. Wskutek jaskrawej reklamy i bezkrytycyzmu pewnej części publiczności, znajdują w Krakowie pokup obce piwa najpodrzędniejsze, produkowane w browarach hakatystycznych (w Krakowie konsumcya obcego piwa wynosi 24.000 hektolitrów), gdy tymczasem nasze piwa eksportuje się do Ameryki, Egiptu i t. d. Ogółem przeszło $^{1}/_{5}$ część ogółu wywożonego z Austryi piwa przypada na Galicyę. Producenci krajowi postanowili wreszcie wystąpić przeciw napływowi lichego obcego piwa.

Ale zabiegi naszych piwowarów nie na wiele się zdadzą, jeżeli ich sami popierać nie będziemy. Uczciwość, poczucie godności narodowej nakazują wyrzec się raz na zawsze „pilznerów i bawarów" piwa karwińskiego i t d. a stanowczo unikać tych lokali, w których niema piwa krajowego. Owe „pilznery i bawary" karwińskie i t. d. spija się u nas bezmyślnie, tylko z naśladownictwa, tylko z nawyku, bo chyba nikt nie zaprzeczy, że nasze okocimskie nie gorsze od „bawara", a żywieckie smaczniejsze, a i zdrowsze od „pilznera".

Miliony wyrzucamy za granicę za piwo, my naród nędzarzy!

Ciekawe też szczegóły, o ile przemysł krajowy usługuje browarnictwu Urządzenia techniczne browaru przedstawiają szereg różnorodnych maszyn i przyrządów: urządzenia wodociągowe, pompy, wentyle, kadzie zacierne, kotły parowe i warzelniane, chłodniki, oziębiacze, windy, wózki do przewożenia słodu, wozy do transportu samego towaru — to w głównych zarysach zbiór przyrządów, maszyn i technicznych aparatów, którymi browary się posługują. Pole do pracy w tym kierunku stoi otworem dla krajowych żelaznych fabryk i warsztatów mechanicznych Toteż, w ostatnich czasach, nasze fabryki wyrobów żelaznych specyalizują się w kierunku rodzimego przemysłu piwowarczego. We Lwowie i w Krakowie istnieją takie większe zakłady fabryczne, a po kraju rozsianych jest dużo mniejszych maszynowych warsztatów, które w galicyjskich browarach znajdują stały roczny zarobek i zajęcie tak, że w znacznej części im swoje istnienie zawdzięczają. Kiedy się zważy, że ogólną wartość przedsiębiorstw piwowarczych w kraju, obliczyć można na mniejwięcej dwadzieścia milionów koron, prosty stąd wniosek, iż stały roczny zarobek fabryk i zakładów żelazno-mechanicznych, obsługujących je stale, wynosić musi około miliona koron

Ważnym działem krajowego przemysłu, znajdującym ogromne zastosowanie w naszem piwowarstwie, jest bednarstwo.

Olbrzymich beczek, o różnych kształtach i rozmiarach, wyrabianych z dębiny, dostarczają prawie wyłącznie bednarnie krajowe, tak samo, jak i zwykłych beczek transportowych. Roczne zapotrzebowanie kadzi, kuf i beczek, reprezentuje również przeszło milion koron, który także w poważnej części w kraju pozostaje. Z przemysłem bednarskim łączy się do pewnego stopnia fabryczny wyrób t. zw. szpuntów. Są to przeważnie z miękkiego drzewa sporządzone zatyczki do zabijania otworów w beczkach transportowych, stanowią zaś odrębną gałąź krajowego przemysłu. Galicya posiada kilkanaście wcale dużych zakładów fabrycznych, zajmujących się wyłącznie wyrobem szpuntów drewnianych. Najpoważniejsze takie zakłady istnieją w okolicy Bolechowa. Browary galicyjskie zużywają takich szpuntów około czterech milionów rocznie.

W monarchii austryackiej istnieje kartel fabryk, trudniących się wyrobem flaszek na piwo, kartel, który nie dopuszcza fabryk galicyjskich do tego rodzaju wytwórstwa. Potrzebaby znacznego kapitału, aby przez stworzenie wielkiej fabryki flaszek zrównoważyć u nas wpływ zachodnio austryjackiego kartelu; pokusiłby się jednak o to powinny większe przedsiębiorcze kapitały kraju, a z pewnością, w krajowych przedsiębiorstwach browarniczych, znalazłyby należyte poparcie dla swego produktu.

Rozwinięty natomiast jest w Galicyi przemysł fabrykacyi korków, zapotrzebowanie zaś korków do piwa flaszkowego wynosi kilkadziesiąt milionów sztuk, a więc wcale pokaźną sumę. Na uwagę zasługuje także fabrykacya słomianek, potrzebnych do pakowania flaszek. Słomianki te wyrabiają często całe wsie, położone w okolicach browarów, sposobem ręcznym, w ostatnich zaś latach powstały w kraju i dla tego działu produkcyi warsztaty fabryczne. Jednem z większych przedsiębiorstw w tym zakresie jest fabryka słomianek w Półwsiu Zwierzynieckiem koło Krakowa.

Oprócz tego dają browary nasze stałe zatrudnienie przemysłowi rzemieślniczemu w miejscowościach, w których mają swe siedziby. Cieśle, stolarze, kołodzieje, kowale, murarze, miewają w browarach stały i korzystny zarobek. To też browarnictwo krajowe, wytwarzające tyle różnorodnych gatunków doborowego piwa, powinnoby i z tego tytułu liczyć na poparcie naszego społeczeństwa. Tymczasem właśnie teraz urządziły browary obce formalny zamach na nasz przemysł piwowarczy. Nadsyłają gatunki wprost liche, a wysokiem zaliczkowaniem zachęcają restauratorów do ich sprzedaży. Postępowanie importerów piwa obcego do Galicyi powinno wywołać odruch w kierunku samoobrony, popierając bowiem nasze browarnictwo, dopomaga społeczeństwo do rozwoju, związanego ściśle z tem browarnictwem, całego szeregu gałęzi rodzimego wytwórstwa

W tym kierunku musimy zgodnie, stanowczo i wytrwale okazać silną męską wolę wyzwolenia się z nałogów, krzywdzących kraj, wyrzec się wszelkich „pilznerów" i t. d., i bezwzględnym bojkotem dotknąć krzewicieli obcego przemysłu.

Przywóz obcego piwa do Krakowa, a przez Kraków do kraju, wzrasta coraz bardziej, a szczególniej browary niemieckie na Śląsku rozpoczęły zaciekłą konkurencyę z naszymi, nie mogąc znaleźć dostatecznego zbytu u siebie. Produkcya browarów niemieckich na Śląsku tak się przedstawia:

Browar w Cieszynie	wytwarzał w 1910 r.	116.000 hl.
„ w Karwinie	„ „	111.317 „
„ w Opawie	„ „	82.500 „
„ w Bielsku	„ „	33.745 „
„ w Freudenthal	„ „	19.980 „
	Razem . . .	363.542 hl.

W tym samym czasie wynosiła produkcya w Galicyi:

Browaru w Busku	65.000 hl.
„ w Krasiczynie	60.000 „
„ we Lwowie	237.000 „
„ w Okocimie	300.601 „
„ w Żywcu	115.344 „
Razem . . .	777.344 hl.

Z tego wynika, że największych pięć browarów w Galicyi wytworzyło w roku 1910 o 414.403 hl. piwa więcej, niż pięć największych śląskich Browar cieszyński, jako największy na Śląsku, wyprodukował nie wiele więcej, niż jedną trzecią ilości, wytworzonej w Okocimie, a browar karwiński ani połowy tego, ile wytwarzają browary lwowskie. Czyż więc najazd browarów śląskich na Kraków i Galicyę nie jest zupełnym ekonomicznym anachronizmem? Nadmienić należy wreszcie, iż browary śląskie mimo to już dzisiaj w samym Krakowie, i to w obrębie miejskich rogatek, sprzedają około 24 tysięcy hektol. swego piwa, wartości przeszło pół miliona koron!

I po jakiegoż licha pozwalamy zalewać kraj lichym wywarem niemieckim, mając tak obfitą i tak wyborną produkcyę własną?

Wyroby własne. *Krochmal* Bażanta i Iskry. (Porzućmy pruski Hoffmana z kotką). *Lakiery* Baranowskiego, Mazanowskiego w Krakowie, Mikolasza, Blumenfelda we Lwowie. (Unikajmy lakierów Flugla i Bedinga, pruskich reklamowanych i narzucających się zawzięcie). — *Mydła* Rożnowskiego, Ihnatowicza, Malinowskiego i wielu innych. (Więc po co nam pruskich Bergmana lub Schichta. Lecz trzeba dopominać się w naszych handlach o te polskie mydła, bo kupcy nasi (niestety!) podsuwają publiczności mydła niemieckie i te trzymają w słojach na widoku, a krajowe chowają po kątach). — *Tlenol*, zastępuje zupełnie rozpowszechniony „Odol", który jest wyrobem pruskim, a bezcelnie drogim. — *Pędzle i szczotki* Boguckiego w Krakowie. — *Pudełka blaszane i metalowe* znakomicie wyrabia fabryka T. Bohdanowicza w Krakowie i ma zbyt nietylko na Węgrzech, na Morawach, w Czechach, w Wiedniu, ale nawet w Egipcie, a niektórzy nasi kupcy sprowadzają takie wyroby... z Prus.

Niepołomice.

(**Niepołomice.** *Stanisław Warcholik.* W Krakowie. Nakładem Tygodnika krajoznawczego *Ziemia*, 1911).

Tak potrzebnej, tak pouczającej, a tak rzetelnie i tak przystępnie napisanej książki, nie spotyka się często na półkach księgarskich To nie tylko praca literacka, ale i nie mała zasługa obywatelska. Nie dziw, że zaczynam od podziękowania panu *Warcholikowi*, za napisanie tej monografii, a pewien jestem tego, że uczyni to każdy, kto tę książeczkę przeczyta.

W układzie przedmiotu miara, rozwaga. Nie ma tu nic niepotrzebnego, nic zbytecznego; wszystko jasne, dowodami historycznymi zaopatrzone.

Godziło się poświęcić Niepołomicom popularną monografię, a zwłaszcza teraz, gdy rozwija się akcya sypania kopca Grunwaldzkiego. Zdarza się, że nawet ludzie o głębokiem wykształceniu, nie pojmują, dlaczego właśnie w Niepołomicach poczęto sypać kopiec

Książeczka *Warcholika* i to wyjaśnia.

Aby dać prawdziwe o książce wyobrażenie, należałoby ją chyba przedrukować w całości, ale i przedruk nie mógłby wystarczyć, bo w książce są pięknie wykonane illustracye. Bodaj drobne wyjątki przytoczymy dla zachęty czytelników naszych, i ku wyjaśnieniu, dlaczego podjęto pracę usypania kopca

„Początki Niepołomic nieznane, a powstały one zapewne siłą faktów, gdy królowie polscy, rezydując w Krakowie, często zjeżdżali na polowania do sąsiednich puszcz Niepołomickich. Tu musiało więc powstać z początku jakoweś schronienie dla orszaku królewskiego".

„W każdym razie mamy już wiadomości, że Kazimierz Wielki, wielki miłośnik łowów, tu często przebywał i dlatego zbudował tu zamek łowiecki Czy to był drewniany gmach, czy murowany, niewiadomo, ale przecież z działalności Kazimierza Wielkiego na tem polu przypuszczać można, że to jednak był zamek murowany. Również i Kazimierzowi Wielkiemu przypisują wybudowanie zameczka na Ochodzku (dzisiejsza Wolica) po przeciwnej stronie Wisły, prawie naprzeciw Niepołomic, dla swej córki, znanej pod nazwiskiem p. Kościelnickiej".

„W 1349 r. fundował tu kościół na pamiątkę zwycięztwa, odniesionego w 1349 r. dnia 22 czerwca, zapewne nad Litwinami podczas wyprawy na Ruś. Kościół w stylu gotyckim ukończony i konsekrowany w 1358 r. dotrwał do naszych czasów".

Przez Niepołomice wiódł główny trakt w Węgier, przez Sącz i Bochnię, do Krakowa, więc tędy zjeżdżał do Polski Ludwik węgierski, tedy zdążała Jadwiga do Krakowa, na objęcie tronu polskiego.

„Niepołomice, leżące niedaleko stolicy w przepięknem położeniu, pośród obszernej równiny nadwiślańskiej, przerzniętej spokojnymi nurtami Wisły, z uroczym widokiem na pogórza karpackie, u krańca rozległej puszczy pełnej zwierza, wabiły królów polskich, zapalonych myśliwych, szczególniej z rodu Jagiełłowego".

„Nic więc dziwnego, że w chwilach wolnych od zajęć państwowych tu szukali odpoczynku i rozrywki wśród trosk o dobro Rzeczypospolitej".

„Tu nieraz zwoływali zjazdy możnowładców i niejednokrotnie stąd wychodziły przywileje, zatwierdzenia i najważniejsze postanowienia królewskie. Tych wyszła niezliczona moc, dość wspomnieć najważniejsze:

„1393 r 11 listopada Władysław Jagiełło zatwierdza tutaj prawa i przywileje żupnikom bocheńskim, nadane im przez Kazimierza Wielkiego.

1405 r. 16 marca Władysław Jagiełło tu podpisuje przywilej dla mieszczan sądeckich.

1421 r. tu rozstrzyga się sprawa nowego małżeństwa Jagiełły, w tymże roku wysyła stąd Jagiełło posłów, Pawła i Jakuba Paravesino, do Marcina, papieża.

1422 r. 28 listopada wydaje tu Władysław Jagiełło przywilej normujący monetę.

1554 r. Zygmunt August łagodzi prawo kłusowników, pochwyconych w królewskich kniejach, „gdyż król nie chce, aby na gardle karano za zabicie jelenia, skoro głowę człowieka okupić można".

Stąd datowane też są tajemnicze listy Zygmunta Augusta do Hozyusza, przebywającego podówczas w Wiedniu.

Tu 1579 r 10 maja pozwala Stefan Batory na otwarcie wolnej drogi przez niepołomickie dobra królewskie, celem sprowadzenia soli z żup solnych w Bochni do Wisły. Tu też urządzono skład soli.

Władysław IV w Niepołomicach daje „respons" d. 28 lipca 1646 r. na list braci szlachty i senatorów przeciw wielkim zamiarom królewskim, w sprawie wojny tureckiej.

Niepołomice stały się więc prawdziwie drugą stolicą królewską".

„Niepołomice stały się dla Jagiełły faktycznie siedzibą królewską, która przypominała mu ulubioną Litwę,— a puszcza niepołomicka knieje litewskie“.

„Jagiełło zwoływał stale w Niepołomicach zjazdy koronne, a mianowicie w roku 1408, 1410, 1412, 1418, 1421, 1423, 1430, 1432. Korzystał z każdej sposobności, aby do Niepołomic módz choć na parę dni zajechać, a niejednokrotnie bawił tu i dwa tygodnie Napotykamy zapiski, które świadczą, że Jagiełło bywał tu corocznie, a niejednokrotnie kilka razy do roku. Również i Jadwiga tu zaglądała, zwyczajnie przyjeżdżając tu na obiad, a później wracając do Krakowa“

W Niepołomicach przyjmował Jagiełło przeróżnych gości książęcych, jak książąt Mazowieckich, Skirgiełłę

W Niepołomicach też przebywał po zwycięstwie Grunwaldzkiem i to przez czas długi. Tu przyjmował posłów z Pragi, którzy przybyli z zaproszeniem na tron czeski.

Zjeżdżali tu następnie i późniejsi, niemal wszyscy, królowie. Zygmunt I. przebywał tu miesiącami, za Batorego odbywały się wielkie polowania

„W 1591 r. chroni się tu Zygmunt III ze swoim dworem przed zarazą i tu gości arcyksiężnę rakuską, Annę, swą przyszłą żonę.

Miłośnik łowów, Władysław IV, w 1644 r. ubił tu 50 jeleni, a w 1646 r. polowanie królewskie trwało cały miesiąc.

Jan Kazimierz polując tu, nocował w zameczku kazimierzowskim na Ochodzku“.

„W 1693 r. przebywa Jan Sobieski, a 1730 r. zjeżdża tu 27 września, na trzydniowe polowanie, król August II. Ubito wtedy 3 łosie. 17 jeleni, 88 sarn, 23 dziki, 13 wilków, 32 lisy i wiele drobniejszej zwierzyny.

Z owego ostatniego polowania królewskiego pozostała w puszczy (niedaleko kapliczki Zygmunta Starego) pamiątka, w postaci dębu, pod którym odpoczywał po łowach August. Dąb powalony burzą runął w 1875 r, a na jego miejsce zasadzono nowy i zatknięto obok tablicę.

W 1772 r, przy pierwszym podziale Polski, Niepołomice, wraz z częścią Małopolski, przyłączono do Austryi, — a dobrami niepołomickiemi, a tem samem i zamkiem zawładnął rząd austryacki. — Jeszcze w 1787 r. oglądają Niepołomice ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta, gdy tenże, w podróży swej do Krakowa, zatrzymawszy się w Kościelnikach, za zezwoleniem rządu austryackiego zwiedził zamek i puszczę niepołomicka“.

W Niepołomicach bywały też załogi wojsk polskich.

Są tu piękne zabytki sztuki.

„Starosta niepołomicki, Jan Branicki, przyozdobił kościół, oraz po prawej stronie kościoła ukończył, zaczętą zapewne w 1560 r. przez swego ojca Grzegorza, budowę kaplicy, w stylu włoskim, z latarenką u szczytu.

W tej też kaplicy znajduje się wspaniały pomnik renesansowy, z ciemnoczerwonego marmuru, wzniesiony rodzicom przez wspomnianego Jana Branickiego, a wykonany przez rzeźbiarza Santi Gucciego“.

W kaplicy tej znajduje się przepięknej roboty mozaikowej ławka kolatorska, mocno nadniszczona, pochodząca z końca XVI wieku; na niej herby „Gryf“ i „Jastrzębiec“, a więc zapewne fundacya Jana Branickiego i jego żony.

Po przeciwnej stronie kościoła znajduje się kaplica fundacyi Lubomirskich

Sama kaplica jest znacznie obszerniejsza i piękniejsza, w stylu późno renesansowym przechodzącym w barok, zakończona również u szczytu latarenką. Krata u portalu posiada cechy roboty wysoce artystycznej.

Nadto znajduje się w kościele obraz św. Karola Boromeusza, przywieziony z Bononii, przed którym Anna z Myszkowskich, żona Jana Branickiego, schorowana na gościec, modląc się w dniu 1 listopada 1604 r. w zamku niepołomickim, została uzdrowioną i obraz do kościoła przeniosła

Jednak najpiękniejszym zabytkiem na zewnątrz kościoła jest bramka w murze cmentarnym, wiodąca dawniej do nieistniejącej dziś, w temże miejscu plebanii, a pochodząca z XVI w., przepięknej roboty renesansowej, wystawiona zapewne przez Grzegorza Branickiego, — o czem świadczy herb „Gryf“, a wykonana niezawodnie przez Santi Gucciego“.

Te drobne wyjątki, powyrywane luźnie, tak wielce ciekawe, a cóż dopiero cała książka?

Autor kończy swą pracę ustępem, płynącym mu z serca, do serca też przemawiającym:

„Niepołomice należą do tych uroczych zakątków ziemi krakowskiej, które mają w sobie jakąś siłę przyciągającą, a duszę polską wprost przykuwają nietylko wspomnieniami przeszłości, ale i malowniczością okolicy.

I niema nic piękniejszego nad wieczór w tej okolicy, gdy promienie zachodzącego słońca w tysiącznych, złocistych blaskach odbijają się na mnogich szczytach wież kościołów i gmachów krakowskich; wtedy zda się, jakby jakaś niezwykła jasność szła z tego grodu królewskiego, jakby Kraków płonął jakimś przedziwnym ogniem.

A od jaśniejącego tła odbijają się ciemną sylwetą górne mury wawelskie, jak jaka niestarta opoka wśród morza ognia i zniszczenia. U lewej zaś strony opromieniony, ostatnimi blaskami wystrzela wyniosły kopiec Kościuszki, a poniżej, jakby jego odbicie, zadumana nad królewskim grodem sinieje mogiła Krakusa. I gdy jeszcze ze wzgórza przydrożnego od Niepołomic wystrzeli wkrótce wysoki kopiec zwycięzcy z pod Grunwaldu, Jagiełły, ze szczytu jego dojrzymy ponad zielenią drzew mogiłę Wandy.

I odtąd u straży grodu Jagiellońskiego stać będą cztery kopce, wzniesione rękami synów tej ziemi“.

Po przeczytaniu książki p. *Warcholika* zrozumie chyba każdy, dlaczego w Niepołomicach kopiec sypać poczęto, dlaczego „Straż Polska“ dokłada dłoni do tego dzieła, poczętego jeszcze w r. 1902 przez „Sokół“ niepołomicki, pod wrażeniem Wrześni, a rozwiniętego na większe rozmiary zeszłego roku, za inicyatywą Mieczysława Reichenberga, prezesa „Sokoła“ w Niepołomicach, i inżyniera Władysława Kowalskiego; za poparciem miejscowego proboszcza X Graczyńskiego i całego zastępu zacnych, pełnych zapału obywateli Niepołomickich.

Jeszcze raz dzięki za książkę panu Warcholikowi!

Sądzimy, że niebawem nastąpi drugie jej wydanie, zwłaszcza, że dochód przeznaczony na sypanie „Kopca Grunwaldzkiego“. *Cz. P.*

Ze Śląska.

Jubileusz „Macierzy szkolnej“. Dnia 16. lipca odbyło się w Cieszynie jubileuszowe walne zgromadzenie tej instytucyi tak patryotycznej, tyle zasłużonej, że przykładem i wzorem była przez dwadzieścia pięć lat swego istnienia. Zebrało się około 200 delegatów Kół, a najwięcej z Zagłębia węglowego. Przybyli posłowie dr. Michejda i Jerzy Cienciała, prezes Tow. rolniczego w Cieszynie, tudzież delegat T. S. L. profesor Mohr.

Obrady bardzo były ożywione. Prezes Filasiewicz wykazał, że ofiarność na cele „Macierzy“ wzmaga się na Śląsku, ale poza Śląskiem słabnie. Fundusze „Macierzy“ znajdują się w bardzo opłakanym stanie, budżet za rok 1910 zamyka się bardzo znacznym niedoborem. Na przyszłość czekają „Macierz“ niecierpiące zwłoki wydatki, a dochodów niema żadnych. Jeżeli instytucya nie znajdzie wydatnej pomocy i to rychło, to zarząd przystąpi do zamknięcia pewnej liczby szkół, z wielkim trudem i kosztem utworzonych. Mowca wyraził jednak nadzieję, że społeczeństwo nie dopuści do zwinięcia placówek narodowych.

Najważniejszym referatem było sprawozdanie prof Bogacza. Referent zaznaczył, że dorobek „Macierzy szkolnej“ na polu szkolnictwa powiększył się w roku 1910 o 2 szkoły w Pietwałdzie i 1 w Hładnowie, oraz 2 ochronki w Kończycach i Lutynii Niemieckiej. Wspólnym kosztem „Macierzy“ i Tow. szkoły ludowej powstała w Orłowej bursa, w której umieszczonych jest 21 wychowanków. Piękne owoce rokuje rozbudzony ruch w kierunku tworzenia szkół przemysłowych uzupełniających. Pierwsza taka szkoła powstała w roku 1909 w Orłowej, w roku 1910 w Cieszynie i Błędowicach Dolnych. Stypendya i zapomogi dla uczniów w roku sprawozdawczym wynosiły 3931 koron.

Dochody bieżące „Macierzy szkolnej“ doszły w roku sprawozdawczym do sumy 148.751 kor., wydatki wynoszą 218.117 kor. Rok sprawozdawczy został w rezultacie zakończony niedoborem 69.405 kor. Część tego niedoboru została pokryta zapasami z lat poprzednich, wynoszącymi 10.605 kor., reszta zaś w sumie 58.799 kor. pokryta zostanie przez 4 proc. pożyczkę z funduszu bursy w Cieszynie, zwrotnej w przeciągu lat 6. Fundusze stałe wzrosły w roku sprawozdawczym o 58.092 koron i osiągnęły kwotę 248.373 kor., majątek Tow. zmniejszył się jednak wskutek niedoboru w funduszu obrotowym o 11.312 kor. Wydatki na rok 1911 preliminowane są w wysokości 352.699 kor., dochody 255.000 kor, ponowny niedobór wynosi tedy 97.000 kor

Po przyjęciu projektowanego preliminarza na rok 1911 uchwalono wniosek zarządu głównego „Macierzy“, następującej treści:

Walne zgromadzenie upoważnia zarząd główny do zwinięcia z początkiem roku szkolnego 1911/12 kilku zakładów swoich, gdyby kroki podjęte przez zarząd, celem sanacyi finansów instytucyi, nie dały pożądanego rezultatu.

Nad tym przykrym wnioskiem toczyła się żywa dyskusya. Mowcy wyrażali nadzieję, że Polacy ze Śląska i z innych dzielnic nie dopuszczą do zwinięcia szkół polskich tak bardzo przez lud polski umiłowanych. Zwinięcie przez „Macierz“ tych zakładów w okolicach zagrożonych, byłoby bolesnym ciosem dla polskości.

Uchwalono wysłać telegramy do dra Osuchowskiego, adwokata w Warszawie, który od lat wielu jest podporą i prawdziwym opiekunem „Macierzy“, tudzież do p. Hasewicza i H Sienkiewicza, z podziękowaniem za ich wybitną działalność dla „Macierzy“.

„Macierz“ wydała na cele szkolnictwa polskiego na Śląsku, blizko 2 miliony koron, a mianowicie: na zakłady przejęte na koszt publiczny, t. j. gimnazyum polskie w Cieszynie i seminaryum 562.926 kor 27 h; na zakłady, które dotąd utrzymuje: *a)* na szkoły 522.713 kor. 86 h, *b)* na ochronki 47.673 kor. 82 h, *c)* na inne zakłady 132.893 kor 32 h, *d)* na realności 353,111 kor. 82 h; na subwencye 11.800 kor; na zapomogi 149.580 kor. 11 h, razem 1,780.699 kor. 20 h.

Cyfry te świadczą wymownie, ile społeczeństwo nasze musi wydawać na szkoły, których utrzymanie jest obowiązkiem rządu. Smutne to, że naród nasz tak uciskany i gnębiony na Śląsku, łożyć musi tak wielkie sumy Nie ustawajmy jednak w składkach i dajmy każdy ile kto może, a sprawa nasza prędzej czy później zwycięży.

Hakatysta w Dziedzicach. Od jednego z prenumeratorów otrzymujemy ciekawą wiadomość. „Wysiadam na stacyi w Dziedzicach — opowiada nasz prenumerator — i kiwam na posługacza kolejowego. Przybiega Daję mu kuferek i pytam kiedy odejdzie pociąg do Bielska.

— *Nicht ferste* — odpowiada.

Poznałem z tej rozmowy, że to nasz Maciek, albo Wojtek, więc mówię:

— Pocóż udajecie Niemca, kiedy nawet nie umiecie po niemiecku? Wstydźcie się.

Na to posługacz obejrzał się do koła, a potem po cichu rzekł:

— Muszę, bo straciłbym chleb Naczelnik zakazuje mówić z gośćmi po polsku, każe nam udawać Niemców, a jak kto nie posłucha, to go zaraz wypędza ze służby.

Nie chciałem wierzyć, ale potwierdzili to poważni ludzie, co się o tem przekonali“

Tyle nasz prenumerator Czy nikt się nie znajdzie, coby o tem zawiadomił wyższe władze kolejowe?

Upośledzenie szkół polskich. Mimo próźb, starań i zabiegów ludności polskiej, nie ma do tej pory inspektora polskiego w okręgu frysztackim, chociaż szkoły czeskie i niemieckie, w tym okręgu, inspektorów swoich od dawna posiadają.

Frekwencya w gimnazyach Do gimnazyum polskiego w Cieszynie, zapisało się do kl. I. 27 uczniów, do gimnazyum w Orłowie 87.

Wybryki oficyalistów arcyksiążęcych. W czasie wyborów, dopuszczali się oficyaliści z dóbr arcyksiążęcych gorszącego, a nawet karygodnego teroryzmu, aby nie dopuścić do wyboru dr. Michejdy. Teroryzowano służbę, robotników, grożono wydaleniem. Kto się nie uląkł i głosował na polskiego kandydata, został istotnie ze służby wydalony. Możeby też Koło polskie zwróciło na to uwagę sfer dworskich.

O szkołę niemiecką w Rychwałdzie czynią zabiegi żydzi, przybyli tam z Galicyi. Czy to uczciwie? a czy też i rozumnie?

Uprzejmość sprzymierzeńca. W Gotkowicach, na Śląsku Górnym, odbywała się uroczystość pruskiego *Kriegervereinu* Bohaterowie prusscy, co chyba na manewrach cokolwiek prochu wąchali, z wielkim rozmachem wykrzykiwali o potędze armii pruskiej, o panowaniu Niemiec nad całym światem i.. o konieczności zagarnięcia Austryi pod pano-

wanie pruskie. „Austryę rozbić w puch, jak w r 1866“ wykrzykiwali i na domiar uniesień, znalazłszy blaszanego orła austryackiego, kiereszowali go kijami, a potem, zawiesiwszy go na wysokiej żerdzi, strzelali do niego. Gdy obecnych tam kilku obywateli austryackich zaczęło protestować przeciw temu, uraczono ich przezwiskami, grożono pięściami i rzucono się wreszcie na nich.

Koło Macierzy szkolnej zawiązało się w zeszłym miesiącu w Rychwałdzie, aby chronić ludność przed czechizacyą. Bolesne to, ale niestety prawdziwe, że Czesi, którzy tyle ucisku od Niemców doznawali, naszą ludność zawzięcie zczeszczyć usiłują. *Koło Macierzy* zakłada czytelnię polską i prosi o jakiekolwiek, choćby najskromniejsze ofiary z książek, oczywiście stosownych dla ludu. Biuro „Straży“ chętnie pośredniczyć będzie w przyjmowaniu i wysłaniu ofiarowanych książek.

Braterstwo czeskie dziwnie się objawia na Śląsku. Twardo obstają Czesi przy prawach korony św. Wacława, ale z tego nie wynika, aby im wolno było zapominać, że Śląsk jest odwieczną ziemią polską, acz niestety, przez nieszczęsny podział Krzywoustego i naszą opieszałość długowieczną, z koroną czeską politycznie złączoną. Bolesne to dla nas, ale prawdziwe, że Czesi dotkliwiej nam dokuczają na Śląsku, niż Niemcy. Oto z Małych Kończyc donoszą, że Czesi w straszny sposób mszczą się na polskiej ludności, że na Polaka, a nie na Czecha głosowała. Rzucają przezwiskami, jak „polskie świnie“, „polscy vsziva cy“, tłuką szyby w oknach polskich mieszkańców, obrzucają Polaków po drogach kamieniami, a w lokalach publicznych rzucają na nich kuflami z piwa. Wielu za to aresztowano, ale inni w ich miejsce toż samo poczynają.

Rozmaitości.

Uciśniona niemczyzna w Galicyi. Wiadomo powszechnie, że ustawa szkolna u nas zabezpiecza zupełną ochronę narodowości. O języku wykładowym w szkole rozstrzyga gmina, która szkołę zakłada. Jeżeli gmina życzy sobie mieć szkołę ruską. to ją mieć musi i nikt jej tego zabronić nie może, Również wolno zakładać prywatne szkoły niemieckie. Mamy je przecież i w Krakowie, a nawet otrzymują subwencye gminne. W koloniach niemieckich, rozsianych we wschodniej części kraju, wszędzie szkoły ludowe niemieckie istnieją. W urzędzie język niemiecki zupełnie uprawniony, a w niektórych urzędach nawet panujący. A jednak wychodzący od niedawna we Lwowie tygodnik *Deutsches Volksblatt fur Galizien* kłamie na komendę z Berlina, że Niemcy doznają tu „strasznego ucisku“, że „Polacy chcą kamień grobowy położyć na mogile galicyjskiej niemczyzny“ itd. Ale mniejsza o te kłamstwa, bo one nie dziwią nikogo. Ważniejsze dla nas jest przyznanie się *Volksblatu*, że koloniści niemieccy, wspomagani przez „*Bundy*“ „*Vereiny*“, „zasilane przez braci z wielkiej ojczyzny niemieckiej“ (z Prus), staną do ostrej walki z Polakami, aby Galicyi odebrać charakter polskiego kraju i niemczyźnie zdobyć miejsce naczelne. Rzeczywiście, że samochwalstwa i germańkiej buty bardzo tu wiele, lecz nie można tej sprawy lekceważyć, bo istotnie ferment rośnie, koloniści rozpierają się coraz śmielej, a nawet już i zuchwalstwem tu i ówdzie bryzgają.

Prostactwo rosyjskie. Nacyonaliści rosyjscy objawiają jaskrawo, że w Rosyaninie jest coś z natury prostaka dorobkiewicza. Pycha, arogancya, pchanie się na czoło. To też było właściwie powodem kwasów, kłótni i bójek na zjeździe dziennikarzy w Belgradzie. Komitet gospodarczy, chcąc uniknąć uraz, a i trudności towarzyskich, słusznie postanowił, że w przyjmowaniu gości, umieszczaniu ich, w ułożeniu przemówień, będzie stosował się do abecadła, a więc początek będą czynili Bułgarzy, po nich nastąpią Czesi, Chorwaci itd, a Rosyanie wskutek tego znajdą się na końcu. To się nie podobało osławionemu Wergunowi, oburzyło go i z wyniosłością dorobkiewicza domagał się, aby Rosyanie pierwsze miejsce otrzymali, jako przedstawiciele potężnego państwa. Szczególnie rozgniewał się, że według owego porządku Polacy przemawiali przed Rosyanami, że ich wcześniej witano. Nie wahał się też ów Wergun głośno wykrzykiwać, że „Rosyanom należy się wszędzie wśród Słowian miejsce naczelne, bo oni właściwie reprezentują Słowiańszczyznę, a inne drobne plemiona nie miałyby żadnego znaczenia w świecie, gdyby nie potęga Rosyi, która je swą łaską podtrzymuje“. Że tak miał przemawiać, zapewniają bardzo poważni uczestnicy Zjazdu.

Madziaryzacya. Gościnność nasza bez granic. Przyjmujemy otwartemi ramionami wszelką germanizacyę języka, o czem w „Kąciku językowym“ wciąż przypominamy, a że tego nam za mało, więc jeszcze i madziaryzacyi otwieramy gościnne wrota. Ktoś chciał z Poronina pojechać do Zamków Orawskich i chce kupić bilet w kasie kolejowej. Urzędnik szuka, przegląda bilety i nie znajduje.

— Takiej stacyi niema — oświadcza stanowczo.

Podróżnemu wpadła na myśl nazwa węgierska: Arva Varalja.

— A! taka stacya jest.

Mogą sobie Węgrzy nazywać i przezywać stare polskie osady, jak im się podoba, bo się tego od Prusaków nauczyli, ale dlaczego nasz zarząd dróg żelaznych temu się poddaje?

Czytamy w dzienniku poważnym, wychodzącym w Krakowie (i to pod naczelnym kierunkiem członka instytucyi, czuwającej z urzędu nad czystością języka), że coś się tam stało w „Tatra Füret“. Oczywiście, że czytelnik mniemał, iż mowa tu o jakiejś górze w Karpatach siedmiogrodzkich; a to stało się w „Tatrzańskiej Łomnicy“, w Karpatach polskich. Czy tak powinien pisać dziennik poważny?

A wszyscy, wszędzie i zawsze w całym kraju u nas piszą i mówią, że jadą do „Szmeksu“, zapominając, że to także stary polski „Smokowiec“.

Wiecznie marnotrawni! wiecznie lekkomyślni!

Kronika „Straży Polskiej“.

Obchód grunwaldzki w Krakowie. Dwa lata temu „Straż Polska“ pierwsza powzięła myśl uczczenia rocznicy grunwaldzkiej.

Myśl zamieniono bezzwłocznie w czyn i dnia 17-go lipca urządzono w Krakowie uroczysty obchód, który był godną wigilią święta, jakie roku zeszłego obchodziła cała Polska duchowo wolna i niepodległa Wszystkie pisma, tak miejscowe jak i prowincyonalne (zwłaszcza lwowskie) zamieściły dokładny naonczas przebieg uroczystości, podnosząc znaczenie tego właśnie obchodu, oraz zasługę „Straży Polskiej“, która o Grunwaldzie, jako narodowem święcie, pierwsza pomyślała.

To też „Straż Polska“, świadoma swego celu i podjęcia dobrej sprawy, postanowiła na jednem z posiedzeń Zarządu, by nie poprzestać tylko na owym jednorazowym obchodzie, lecz dzień 15-go lipca czcić godnie i uroczyście — co roku.

W myśl tej uchwały urządzono i tego roku, dnia 16-go lipca uroczystość grunwaldzką ku wspomnieniu i chwale 501 rocznicy grunwaldzkiego boju.

Parę tygodni przedtem, wybrano osobny w tym celu komitet, któremu przewodniczył (podobnie, jak przed laty dwoma) członek Zarządu głównego p A. E. Balicki.

Zabrano się bezzwłocznie do pracy, a pracy o tyle mozolnej i ciężkiej, że miesiąc lipiec w Krakowie — to czas największego odpływu mieszkańców... w stronę gór i letnisk.

Mimo to, jak w „Straży Polskiej“ wielką jest ochota do pracy, świadczy najlepiej szczegół, że na posiedzeniach komitetu bywało do sześćdziesiąt osób, ilość w czasie upałów i wakacyi wprost niebywała. Komitet uchwalił program uroczystości, załatwił mnóstwo prac przygotowawczych, a załatwił wszystko tak dokładnie, że obchód dnia 16-go lipca wypadł również poważnie, a choć nie strojnie i bogato, przecież uroczyście i wzniośle, pozostawiając po sobie wspomnienie znowu na długo pamiętne.

Z łatwo zrozumiałych względów podajemy tylko suchy przebieg uroczystości:

Dnia 16 go lipca (w niedzielę) od wczesnego już rana grały strażackie trąbki na wieży Maryackiej pieśni nasze, zwiastując tem samem: nadchodzące narodowe święto.

O godzinie dziewiątej wypełniło się wnętrze Maryackiego kościoła szczelnie delegacyami i publicznością. W presbiteryum, w nawach zasiedli: Członkowie Rady miejskiej z prezydentem Szarskim na czele, Prezydyum „Straży Polskiej“ i komitetu grunwaldzkiego, oraz wiele wybitnych osób tak miejscowych, jako też przejezdnych.

Przed wielkim ołtarzem ustawiły się w grupach: Straż pożarna ochotnicza z naczelnikiem p. Fenzem na czele, delegacyą włościan z Morawicy ze wspaniałymi wieńcami, delegacya z Litwy i Królestwa Polskiego, złożona w przed dzień uroczystości z osób tak przejezdnych, jako też rozmyślnie na obchód przybyłych, delegacya młodzieży z pod zaboru pruskiego, oraz wielka grupa Wielkopolan..

Wśród nabożeństwa odprawionego okazale, wygłosił prześliczne patryotyczne kazanie ks O. Zygmunt Janicki. Znany ten, popularny i nad wyraz zdolny kaznodzieja, porywającemi słowy wskazał na znaczenie boju pod Grunwaldem, na jego skutki i obowiązki stąd dla nas wynikłe. Błagalnemi słowy wzywał, by trwać we wzajemnej miłości i pracy, a z wrogiem walczyć nie na oręż, lecz na wytwałość i prawość...

Po nabożeństwie uformował się nie olbrzymi, lecz zwarty i składny pochód, który ulicą Grodzką i Placem Bernardyńskim podążył na Wawel, na wiec.

Czoło pochodu stanowiła Straż pożarna i ochotnicza, za nią ze sztandarami postępowali weterani i powstańcy z 1863 roku.

Za nimi kroczyła młodzież „abstynencka“ oraz Zakład Józefitów ze wspaniałym wieńcem (w kształcie królewskiej korony). Za młodzieżą postępowały trzy plutony Sokołów z muzyką. Za nimi uformowali się Wielkopolanie, oraz delegacye z Litwy i Królestwa Polskiego, nadto w ostatniej chwili przybyłe ze Śląska i Wschodniej Galicyi.

Za braćmi z pod obcych zaborów, szli wielką grupą włościanie i włościanki z Morawicy, w pysznych swych strojach ludowych. Nieśli oni wieńce z drzew i kwiatów polnych uwite. Za nimi postępywały ze sztandarami: Kółko kontuszowców, Towarzystwo strzeleckie z dyrektorem p. Staniszewskim na czele, Cechy rękodzielnicze, z p. Wolnym, Rada miejska, wreszcie prezydyum „Straży Polskiej“, poprzedzane dwoma olbrzymimi a wspaniałymi wieńcami, przez p. Wojtycha z Krzeszowic wykonanymi. Pochód zamknęła znowu Straż pożarna.

Na Wawelu, nad „Jamą smoczą“ zatrzymał się pochód, ledwo miejsce dla siebie zyskując wobec tłumu doborowej publiczności, wcześniej tu na wiec przybyłej.

Na mównicę wystąpił Prezes „Straży Polskiej“ Radca Czesław Pieniążek, — który w gorących słowach, tak mniej więcej przemówił:

„W rocznicę wielkich wydarzeń dziejowych, urządzamy obchody nie z pychy i nie z przechwałek, jeno dla nauki. A nauka płynie z tych obchodów wielka i oby skuteczna! Takie wielkie były zwycięstwa, tyle chwały, tyle bohaterstwa w przeszłości, takie wielkie idee polityczne, jak te, co stworzyły unię, konstytucyę trzeciego maja. A jednak z tej wspaniałej przeszłości co pozostało? Gruzy i gruzy! Bo nie dość pokonać wroga ościennego, nie dość za ojczyznę umierać, nie dość mieć wielkie myśli i chęci. Zwyciężać trzeba przedewszystkiem samego siebie, swe wady, swe słabości; dla ojczyzny żyć trzeba, a żyć trzeba umieć dla niej; chęci pragnienia, zapały nie wystarczą do życia narodów, jeno czyny, a rozumne, rozważne i trwałe! Bez tego nie będzie w narodzie nietylko wielkości, ale nawet i życia. Dziś na gruzach politycznego bytu, nie płakać z Jeremiaszem, jeno „uderzać w czynów stal“; nie folgować sobie, jeno „ze słabością się łamać“ własną, a pamiętać, że „w słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę“. Poszło na marne zwycięstwo grunwaldzkie, bośmy je zaprzepaścili w nieoględności, w rozterkach, w rozbujałości indywidualizmu, w pysze, w gonitwie o zadowolenie osobistych ambicyj, w niesforności, nieposzanowaniu prawa, w zawiściach partyjnych, we frymarczeniu sprawą publiczną, w lenistwie ekonomicznem. Ale my żyć chcemy, żyć musimy i na gruzach przyszłość nową zbudować przyszłość.

„Wołają o to echa Grunwaldu, Wielkich Łuków, Kłuszyna; nakazują to prochy królewskie w wawelskich grobowcach; rwie zaś do tego siła żywotna i niezłomna wiara, że „Jeszcze nie zginęła“. Ale nie żelazem oręża wykrzesywać nam nasze dzieje, bo oręż skruszony. Żelazem silnej woli, zwyciężaniem samych siebie i pracą zbudujemy nową Polskę i stworzymy nowy Grunwald. A więc miejmy żelazną wolę stworzenia podwalin nowego życia, a niemi: moralność polityczna. Nie rozbijajmy się na partye i partyjki, wyrastające nie

z potrzeb politycznych, jeno z zawiści osobistych, z ambicyjek, z gonitwy po dostojeństwa, z próżności jednostek. Moralności trzeba i na dzień poprzedni, a więc precz ze zbytkiem wszelakim, z życiem wybujałem. Wzbogacajmy się oszczędnością, pracą i rzutnością ekonomiczną. Rozwijać przemysł rodzinny, pielęgnować rękodzieła, rolnictwo doskonalić, oświatę rozszerzać i pogłębiać, dziatwę wychowywać po spartańsku. Ojczystą mowę nietylko czcić i pielęgnować, ale i krzewić ją i nie dozwalać, aby na naszej prastarej polskiej ziemi rozbrzmiewał obcy bełkot śród rzeszy, przed wiekami tak gościnnie, a nawet tak serdecznie przez nas przyjętej, przytulonej. Bierzmy przykład z Czechów, jak dzielnie pracowali i pracują, jak prędko rozrośli się w naród pełen życia i siły, oni, o których przed stu laty mówiono, jakby o umarłych, bez wiary w możność wskrzeszenia.

„A służmy sprawie publicznej nie za zapłatę, czy to groszem, czy dostojeństwami, jeno z poczucia świętego obowiązku, jak rycerze, a nie jak najemni żołdacy! Pokażmy „nie słowem, lecz czynem“, że ojczyznę kochamy, a będzie nowy Grunwald!“

Ledwie umilkły długotrwałe oklaski, a już miejsce poprzednika zajął na mównicy Dr. Kazimierz Lubecki, który wyszukanemi i wykwintnemi słowy wskazał na Grunwald sam, i na jego uczczenie w roku zeszłym Grunwald z roku 1410 — mówił mowca — nadchodzi i odgrywa się już w nas dzisiaj, bo dziś do walki stanęliśmy z wrogiem wszyscy.

Długo i z zapałem przemawiał p. Lubecki na ten temat, to też znalazły słowa jego uznanie w gorącym poklasku.

Wiec zakończył i zamknął przewodniczący komitetu p. A. E. Balicki przemową krótką, lecz dosadną i treściwą, mieszczącą w sobie następującą rezolucyę:

„Zrzucimy z siebie nienawiści nasze! W jedną moc złączymy rozproszone siły nasze! Za oręż chwycim pracy i wytwałości! Miłować się społem będziemy! Nie oddamy już wrogom ni piędzi swej ziemi, ni chwilki życia naszego!!!“...

Łzy w oczach i dłonie do poważnych oklasków złożone, były wymownym dowodem, jak przyjęto cały wiec i jego rezolucyę.

Po rozwiązaniu wiecu udały się deputacye do katedry, gdzie na sarkofagach Jadwigi i Jagiełły złożono część wieńców. Część pozostałą zaniesiono pod pomnik grunwaldzki na plac Matejki, oraz pod pomnik Jadwigi i Jagiełły na plantach.

Wieczorem tego samego dnia illuminowano pomnik grunwaldzki olbrzymiemi gazowemi pochodniami, a pomnik Jagiełły i Jadwigi kolorowemi lampkami. Pod pomnikami tłumy publiczności, przy dźwiękach trąb, śpiewały składnie i harmonijnie patryotyczne pieśni.

Przez cały dzień po placach i ulicach miasta zbierała „Straż Polska“ składki na cele społeczne. Sprawozdanie z tych składek poda się na innem miejscu.

Tak w zarysie przedstawiała się niedziela 16-go lipca w Krakowie. Przyniosła ona, zwłaszcza dla braci z pod dwóch zaborów, wiele doniosłych i nie zapomnianych wrażeń. *K.*

Wdzięczność należy się ze strony „Straży Polskiej“ wszystkim tym, którzy do uświetnienia obchodu tak gorliwie się przyczynili. Osobne podziękowania wysłał już komitet grunwaldzki. Zarząd główny „Straży Polskiej“ składa je jeszcze raz ryczałtem wszystkim, a zwłaszcza wybranemu przez siebie komitetowi, który nie żałował ni czasu ni trudu, by wedle możności obchód grunwaldzki wypadł jak najgodniej.

Składki na cele narodowe. Ogólny dochód: 892 koron 81 hal., 9 rubli 30 kop., 6 marek 72 fenigi. Rozchód: 349 koron 28 hal. Dochód czysty, po zmianie monet pruskich i rosyjskich: 575 koron 27 hal. Szczegółowy rachunek podamy w następnym numerze.

Placówki. Na zachodnich kresach naszych są opróżnione następujące placówki polskie: 1) Z wolnej ręki kupić można zyskowny sklep (konfekcya męska, kapelusze, towary modne). 2) Rozpisano konkurs na budowę murowanej szkoły; oferty wnosić można do 10-go sierpnia 3) Posada urzędnika rachunkowości w większej fabryce opróżniona. 4) Poszukuje się wspólnika, lub zastępcy, do zarządu tartaku. 5) Dom w wielkiem mieście na sprzedaż. 6) Panna sklepowa znajdzie umieszczenie w większym sklepie. 7) Potrzeba pomocnika tapicerskiego. 8) Potrzebny pomocnik introligatorski w powiatowem mieście. 9) Dzielny i silny kowal znajdzie zajęcie we fabryce cukru. Posadę natychmiast objąć można. — Dokładnych wiadomości udziela biuro „Straży Polskiej“ Kraków, ulica Floryańska L. 1 w godzinach od 4 do 6. Przy listownych zapytaniach należy załączyć markę na odpowiedź.

Z Administracyi „Straży Polskiej“.

Roczniki „Straży Polskiej“ są na sprzedaż po cenie 2 kor.

G. Smólski. Niemcy w Galicyi. Dzieło to nader ciekawe, sprzedaje administracya po 80 halerzy.

ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW

TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W KRAKOWIE.

Rozchód. Rachunek zysków i strat z działu ogniowego za czas od 1. stycznia 1910 do 31. grudnia 1910 r. **Przychód.**

Rozchód.

		K	h	K	h
I.	Szkody i koszta likwidacyi wypłacone	8,458.758	94		
	mniej zwrot od Towarzystw kontrasekuracyjnych	2,724.800	62	5,733.958	32
II.	Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi kontrasekuracyjnej			2,258.900	72
III.	Odpisy i inne wydatki			1,376.114	44
IV.	Rezerwa na szkody nieuregulowane	1,845.887	10		
	mniej udział Towarzystw kontrasekuracyjnych	1,055.509	75	790.377	35
V	Stan funduszów z końcem roku 1910	16,863.504	18		
	mniej kontrasekuracya	1,728.577	25	15,134.926	93
VI.	Pozostałość			902.836	02
				26,197.213	78

Przychód.

		K	h	K	h
I.	Fundusze przeniesione z r. 1909	16,847.043	07		
	mniej kontrasekuracya	1,324.447	06	15,522.596	01
II.	Fundusz na szkody nieuregulowane przeniesiony z r. 1909	1,273.622	85		
	mniej kontrasekuracya	350.295	26	923.327	59
III.	Zebrana premia	12,887.456	56		
	mniej kontrasekuracya	4.321.443	14	8,566.013	42
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			516.537	55
V.	Inne przychody			[illegible]	21
				26,197.213	78

Stan czynny. Rachunek bilansu z działu ogniowego z dniem 31. grudnia 1910 r. **Stan bierny.**

Stan czynny.

		K	h	K	h
I.	Stan kas z dniem 31 grudnia 1910			355.031	
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędności			1,170.733	74
III.	Realności			1,830.000	
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1910			10,741.072	[illegible]
V.	Weksle w portfelu			176.660	22
VI.	Salda czynne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			1,784.974	67
VII.	Zaległości w agenturach i filiach (salda czynne)			2,311 507	34
VIII.	Różni dłużnicy			2,845.281	73
IX.	Efekta kaucyi agentów			558.614	88
				21,773.876	49

Stan bierny.

		K	h	K	h
I.	Fundusz rezerwowy			7,741.061	78
II.	Fundusz na zwroty			191.384	55
III.	Fundusz wyrównawczy i specyalny			3,261.256	42
IV.	Fundusz na różnicę kursu			21.282	65
V.	Rezerwa premii	5,166.568	88		
	mniej kontrasekuracya	1,728.577	[illegible]	3,437.991	63
VI.	Rezerwa na szkody nieuregulowane	1,845.887	10		
	mniej kontrasekuracya	1,055.509	75	790.377	35
VII.	Fundusz emerytalny			3,101.047	66
VIII.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			460.713	72
IX.	Różni wierzyciele			140.225	50
X.	Kaucye agentów			558.614	88.
XI.	Fundusze różne			1,166.984	33
XII.	Pozostałość			902.936	02
				21,773.876	49

Rozchód. ## Rachunek zysków i strat z działu gradowego za czas od 1. stycznia 1910 do 31. grudnia 1910 r. **Przychód.**

		K	h	K	h
I.	Szkody i koszta likwidacyi wypłacone	2,022.420	34		
	mniej zwrot od Tow. kontrasekurac.	634.027	64	1,388.392	70
II.	Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi kontrasekuracyjnej . .			134.631	[illegible]
III.	Odpisy i inne wydatki			40.670	84
IV.	Fundusz na szkody nieuregulowane .			25.216	07
V.	Stan funduszów z końcem r. 1910			3,007.647	49
				4,596.558	33

		K	h	K	h
I.	Fundusze przeniesione z r. 1909 . .			2,944.245	25
II.	Zebrana premia	1,979.594	31		
	mniej kontrasekuracya	707.965	25	1,271.629	06
III.	Fundusz na szkody nieuregulowane przenies. z r. 1909			41.064	75
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów . . .			103.796	74
V.	Inne przychody			159.627	73
VI.	Niedobór			76.194	80
				4,596.558	33

Stan czynny. ## Rachunek bilansu z działu gradowego z dniem 31. grudnia 1910 r. **Stan bierny.**

		K	h	K	h
I.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędności			25.211	70
II.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1910			2,428.071	66
III.	Weksle w portfelu			152.262	57
IV.	Salda czynne rachunków z Towarz. kontrasekuracyjnemi			39.071	93
V.	Różni dłużnicy			35 675	84
VI.	Pożyczka z funduszu rezerwowego			418.848	45
VII.	Niedobór			76.194	80
				3,175.336	95

		K	h	K	h
I.	Fundusz rezerwowy			2,875.190	76
II.	Fundusz wyrównawczy i specyalny .			116.469	[illegible]
III.	Różni wierzyciele			77.978	73
IV.	Fundusz na szkody nieuregulowane .			25.216	07
V.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi . .			2 152	99
VI.	Fundusze różne			62 341	67
VII.	Fundusz na różnicę kursu			[illegible]	50
				3,175.336	95

Kraków, dnia 31. grudnia 1910.

DYREKCYA:

M. Garapich **Ig. Głażewski.** **Paszkowski.**

Naczelnik centralnego biura rachunkow.: *Wiktor Gablenz.*

KOMISYA RACHUNKOWA:

M. Dydyński. **A. Wodzicki.** **K. Dzieduszycki.**

M. Urbański. **T. Cieński.**

Rozchód. ## Rachunek zysków i strat z działu życiowego za czas od 1. stycznia 1910 do 31. grudnia 1910 r. **Przychód.**

		K	h	K	h
I.	Wypłaty płatnych ubezpieczeń i rent	3,250.094	74		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	269 412	28	2,980.682	46
II.	Wypłaty na wykupione police . . .	328.488	62		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	7.236	06	321.252	56
III.	Dywidenda ubezpieczonym wypłacona			253.646	80
IV.	Ogólne wydatki zarzadu			963.370	28
V.	Odpisy i inne wydatki			126.059	31
VI.	Rezerwa na bieżące wypłaty szkód	443.731	88		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	10.000	—	433.731	88
VII.	Stan funduszów z końcem roku rach.	36,821.316	78		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	682.470	76	36,138.846	02
VIII.	Zysk			605.038	58
				41,822.627	89

		K	h	K	h
I.	Przeniesienie funduszów z roku poprzedniego	35,310.590	[illegible]		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	681.803	48	34,628.786	90
II.	Rezerwa na wypłatę nieuregulowanych szkód z roku poprzedniego . . .	648.926	37		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	122.516	75	526.409	62
III.	Zebrane premie	4,914.745	04		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	112.926	37	4,801.818	67
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów . . .			1,795.028	[illegible]
V.	Inne przychody			70.584	08
				41,822.627	89

Stan czynny. ## Rachunek bilansu z działu ubezpieczeń na życie z dniem 31. grudnia 1910 r. **Stan bierny.**

		K	h	K	h
I.	Zapas kasowy			[illegible]	[illegible]
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytow. i kasach oszczędn.			354.720	07
III.	Realności			640.000	—
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1910			6.056.330	25
V.	Pożyczki hipoteczne			11,243.218	13
VI.	Pożyczki na własne police			4,783.159	22
VII.	Pożyczki stowarzyszeniom			14,171.040	12
VIII.	Salda czynne rachunków z towarzystwami kontrasekuracyjnemi . .			123.407	17
IX.	Zaległości w agenturach i filiach . .			538.740	72
X.	Różni dłużnicy			429.316	93
XI.	Efekta kaucyjne			37.149	32
				38,440.771	82

		K	h	K	h
I.	Rezerwa zysków, kapitałów . . .			4,134.770	22
II.	Fundusz na różnicę kursu			68.123	15
III.	Rezerwa i przeniesienie premii . .			31,715.018	—
IV.	Rezerwa na nieuregulowane szkody			433.731	[illegible]
V.	Fundusz niepodniesionej dywidendy .			220.934	65
VI.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi . .			18.576	50
VII.	Różni wierzyciele			435.831	74
VIII.	Różne kaucye			37.149	32
IX.	Fundusz emerytalny			771.597	78
X.	Zysk			605.038	58
				38,440.771	82

Kraków, dnia 31. grudnia 1910 r.

DYREKCYA:

M. Garapich. **Ig. Głażewski.** **Paszkowski.**

KOMISYA RACHUNKOWA:

St. Dydyński. **K. Cieński.** **Dr K. Lipowski.**

K. Bzowski. **Dr. Z. Kamieński.**

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie:
E. Szancer
rządowo autoryzowany technik asekuracyjny.

Naczelnik biura rachunkowego:
A. Szyszkiewicz.

Podział zysku.

		Dział ogniowy		Dział gradowy		Dział życiowy	
I.	Dywidendy	368.458	69	—	—	307.136	55
II.	*Uposażenie funduszów	34.477	33	—	—	297.902	03
	Razem . .	902.936	02	—	—	605.038	58

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.